DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII | Warszawa, 19 października 1952 r. | Nr 42 (360)

W NUMERZE m. in.

W. KĘTRZYŃSKI — Zadania na jutro
H. DUMERY — O postawach wierzącego
J. DUŻYK—List do M. A. Nexö
J. KRZYSZTOŃ — Białogęby
Z. LICHNIAK — Wyprostowanymi ścieżkami
SZ. DEREŃ — Zza kulis nazistowskiego wywiadu
L. DWERNICKI — Wielka i mała chirurgia w pałacu Blanka

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

Spotkania częstochowskie

ZA OKNEM przemijają łagodne pejzaże pełne rudziejących wygonów i jesienniejących brzóz. Na małych stacyjkach, na których nasz pociąg przystaje, uderza obfitość kolorowych afiszy — kraj żyje pod znakiem bliskich wyborów i hasła Frontu Narodowego wołają z murów i słupów. Jeden szczególnie afisz zapada mi w pamięć: na tle błękitnego, jak sztandar pokoju nieba — złocą się ramiona drogowskazów, napisy na nich wyznaczają kierunek epoce. W parę godzin później — już z okien samochodu, widzę autentyczny drogowskaz głoszący, że do Wielunia jest 56 km., a do Opatowa 29 km.

Właśnie Opatów jest celem naszej dzisiejszej wyprawy, duża wieś w częstochowskim, gdzie ma się odbyć spotkanie kandydatów na posłów do Sejmu z ludnością wiejską. Za szybami, w mierzchnącym blasku dnia bezkresne pola. — droga samotna i długa, ocieniona zawsze wiernymi jej wierzbami. Ale zdarza się coś, co rozbija i mąci nastrój polnej swojskości. W niewielkich odstępach czasu przebiegają obok nas jakieś słupy wbijane w ziemię — stosy czerwonej cegły i stożki białego wapna — kilkakrotnie widać całe budowle podciągnięte pod dach. To plan 6-letni wszędzie sygnalizuje swą obecność.

Jest już prawie ciemno, kiedy wydostaję się z wozu. Rozglądam się wokół, wieś jest rozległa i czysta, na wysokich słupach kołyszą się lampy elektryczne, z otwartego okna piętrowego, niedawno, jak widać, postawionego budynku, dobiega muzyka. Wokół trwa gwar rozmów — dużo ruchu, nastrój, jak przed świętem. A bliżej, tuż przy wozie, — dzieci, całe mnóstwo dzieci.

Te chłopskie dzieci z Opatowa zaimponowały mi swoją powagą i rozsądkiem. — Nie było w nich ani śladu jakiejś nieśmiałości czy zahukania, cech dawniej tak charakterystycznych dla dziecka na wsi. Z zainteresowaniem oglądały nasz wóz, oceniając go trafnie i fachowo. To ja poczułem się onieśmielony wobec ich zaborczej i chłonnej ciekawości i niezręcznie pytałem, aby jakoś zachęcić rozmowę, co to za nowy budynek przy drodze; — odpowiedziały chórem, że to ich szkoła, w której się już uczą od paru lat. Więc zapytałem dalej, czy radio, które słychać ze szkoły, też mają tu od dawna, okazało się, że i prąd elektryczny i radiowęzeł założono w 50 roku, na samym początku Planu 6-letniego. Chciałem jeszcze spytać co wiedzą o tym Planie, czy sobie zdają sprawę jakie on ma znaczenie dla nas wszystkich — ale już obywatelka Komorkowa przewodnicząca Miejscowego Oddziału Ligi Kobiet zaprasza gościnnie do siebie na krótką pogadankę przed wiecem.

*

Za chwilę siedzimy wokół okrągłego stołu pod nisko zwieszoną lampą. Krzyżują się pytania i odpowiedzi, jest mowa o Planie, o zmianach jakie wywołał i o tym jak teraz jest tutaj inaczej, mówi się znów z radością o świetle elektrycznym, które tu panuje od dwu lat, i z troską o trzech gminach, położonych dalej niż Opatów, które dotąd jeszcze nie mają światła. Ale to sprawa po prostu miesięcy — i jeszcze o szkole w Iwanowicach Dużych, że jest tak piękna i nowoczesna, z centralnym ogrzewaniem, z przedszkolem dla najmłodszych.

Rozglądam się po tej dziwnej izbie w tym nieznanym mi nawet ze słyszenia Opatowie. Patrzę na komplet Słowackiego wyglądający równymi grzbietami z półki, na mapę Polski rozwieszoną na ścianie, słucham jak ze skrzynki aparatu płynie mazurek Bacewiczówny i nie mogę wyjść ze zdumienia. Z niedowierzaniem patrzę na ludzi jacy się tu zebrali, na ludzi tak różnych sobie rodzajem pracy, jaką wykonują — pochodzeniem, wiekiem, a tak sobie w tej chwili bliskich jak przyjaciele. Patrzę na ludzi, którym odjęto powód niezgody: nierówność społeczną, i którym dano prawo do wzajemnego szacunku — troskę o rozkwit wspólnego domu. Żeby w jakiś sposób zapanować nad tym wielkim zdumieniem, które mnie ogarnęło, żeby je sobie jakoś wytłumaczyć zaczynam pytać kandydata na posła do Sejmu Mariana Karasińskiego o jego życie. Odpowiada powoli, słowami nie wygładzonymi jak kawałki rudy, którą wytapia co dzień tak wspaniale w ogromnych piecach Huty.

*

W tej chwili rozlegają się w sieni głośne szurania, trzaskają drzwi i jakieś głosy nawołują, abyśmy już ruszyli, bo sala pełna i ludzie bardzo ciekawi tego spotkania.

Za chwilę jesteśmy w remizie straży pożarnej. Sala jest niska, bielona, pachnąca sosną, a teraz natłoczona narodem po brzegi. Posuwamy się z trudem wśród gromkich oklasków, owacji i przywitań. Z bliska mogę się przyjrzeć zebranym. Jest wielu starszych mężczyzn, ale są i kobiety, mnóstwo młodzieży i chyba najwięcej dzieci, — dziewczątka w barwnych chustkach, w serdakach, poobwijane w szale i chłopaki w czapach, które spadają na nosy, w ojcowskich marynarkach, okrutnie na wszystko ciekawi, wypatrujący swe szeroko rozwarte, niebieskie jak niebo oczy. Dzieci obsiadły okna, ławy, kolana dorosłych, wdrapały się na estradę, zawładnęły i mną — jedne przyświecając latarką, abym lepiej mógł spisać wrażenia, inne podtrzymując mój zeszyt a inne informując mnie donośnym szeptem prosto w ucho kto jak się zwie i jaką pełni funkcję. Ten na przykład, który otwiera zebranie to Pasieka, przewodniczący Gminnego Komitetu Obrońców Pokoju, a tamten, który właśnie wchodzi na estradę wezwany do prezydium, to małorolny chłop, Jakób Radwoch. Ledwo mogę nadążyć ze spisywaniem, lecz nagle orkiestra rozpoczyna hymn narodowy, wszyscy się prostują, robi się cicho. Teraz przemawiać będą kandydaci na posłów. Wstają po kolei i mówią prosto, szczerze, serdecznie.

Robotnik Karasiński przypomina dzieło Rewolucji, która pozwoliła robotnikom zasiadać w Sejmie i tworzyć prawa sprawiedliwszej przyszłości. Chłop Oleś opowiada o pracy, której teraz jest pod dostatkiem dla wszystkich. Dominik Horodyński, kandydujący w tym okręgu na posła, wskazuje na olbrzymie zmiany jakie wprowadziła rewolucja w życie wsi, jakie przed ludźmi pracy otworzyła olbrzymie możliwości. Wszyscy słuchają w skupieniu.

*

W dyskusji, która teraz następuje, przemawiający dzielą się z gromadą swoimi uwagami, swą troską i nadzieją. Jest mowa o szkołach, że musi być ich jeszcze więcej i to tym, żeby przyśpieszyć wykonanie Planu, że sporo wprawdzie już zrobiono, ale jeszcze trzeba wiele trudu, wysiłku i pracy — i że się tej pracy nikt nie boi.

Przy drzwiach słychać młode głosy — to zespół artystyczny wojska polskiego przyszedł, aby zakończyć wieczór swymi występami. Z ich wejściem zmienia się nastrój z poważnego w wesoły i swobodny. Z estrady płyną piosenki — jedne skoczne i szybkie, drugie powolne, tęskne. Harmoniści przyciskają rytmicznie instrumenty i oczy dziecięce patrzą w żołnierzy jak w tęczę.

Zaczynają mi przelatywać przez głowę strzępy jakichś myśli — coś z sobą próbuję porównać, coś przypomnieć. Znów niedawne czasy, gdy na wsi jedynem domem kultury była karczma, jedyną rozrywką szklanka wódki, a występami artystycznymi bijatyka i kłótnie. I znów patrzę na dzieci, nie mogę od nich oczu oderwać — patrzę na malców podobnych do skrzydlatych chłopców, których przed wiekami rzezał w lipowym drzewie mistrz Stwosz. Patrzę na czupryny wszystkie jasne i na oczy jedno w drugie niebieskie jak chabry. Słucham melodii przejmujących i prostych, patrzę na gromadę ludzi wolnych i ufnych życiu.

Lecz pora odjeżdżać. Samochód wślizguje się w noc jakby zapadał w otchłań. Latarnie chłostają rózgami świateł pnie czarnych drzew. Jest późno i ziemia już śpi. Daleko pojawia się na nieboskłonie ogromna gwiazda. Migoce jak wielki brylant. To tak świeci nad nocą szczyt wieży Jasnogórskiej. Jesteśmy w Częstochowie.

*

NAZAJUTRZ dzień jest słoneczny, bardzo cichy — jeden z tych, jakie trafiają się tylko jesienią. Wyruszam na wędrówkę po mieście. Zawsze miejsca, których nie znam, choćby najskromniejsze, budzą nadzieje na jakieś piękne przygody, ukryte w nich może rewelacje.

Częstochowa zastanawia swą schludnością, rozmachem planu, aspektem wielkomiejskim. Szerokie aleje krzyżują się śmiało, otwierając dalekie perspektywy, pełne niebieskawego o tej porze powietrza. Taką długą aleją wśród rzędu niewysokich topól idę powoli w stronę Jasnej Góry. Naprzeciw mnie wychodzi swym białym masywem Klasztor. Naprzód smukły obelisk wieży, potem mury warowne, kościół, kaplica.

Przekraczam progi, brodzę przez ciemne przestrzenie pełne migotów i ech, jeszcze niżej zstępuje i oto jestem w kaplicy. Długo potem błądzę po rozległej budowli. Ulegam całkowicie nieodpartym czarom miejsca i jego przedziwnej architekturze.

Ludzie o wyrafinowanym smaku pewnie stwierdzą, że wiele tu efektów przygodnych, wiele nadmiaru, złego baroku, nieestetycznych przybudówek. Ale mnie uderza właśnie harmonia i dostojeństwo tych murów. Jest coś i pańskiego w tym kasztelu. Przypomina jakieś strzeliste alkazary, oszałamia podobnym nagromadzeniem dziedzińców, schodów, bram, oddrzwi, pilastrów, posągów, sklepień, ołtarzy, smug świetlnych i ostrych cieni.

Powoli wspinam się po schodach z żelaza na wieżę, mijam mechanizmy zegarów i wielkie ciężary ich wag obrośniętych kurzem jak mchem. Na szczycie panuje wiatr — zdaje się jakby niebo oddychało tak potężnie. Przede mną widać świat taki rozległy i nakreślony tak wyraźnie, jakby ktoś rozwinął płachtę mapy. Tuż pode mną drzemią dziedzińce klasztoru zatopione w świetle niskiego słońca, dalej widać ulice miejskie, szerokie, rzucone odważnie, otoczone niebieskimi domami, które niedługo zastąpią inne, potężniejsze. W różnych miejscach pejzażu lokomotywy wloką nad sobą bukiety białych par.

Krajobraz na pozór nieruchomy, a jednak wyczuwa się w nim drżenie, jak dreszcz przebiegające i nieustanne, jakby potężne siły gotowały się do aktu twórczego.

Na horyzoncie czerwienieją klocki nowych bloków. Osiedla robotnicze — Nowy i Stary Raków, a dalej wieńce kominów biją ku niebu kolumnami dymów. Co jakiś czas budzi się tam wewnątrz ostry blask widoczny wyraźnie mimo białego dnia. Gigantyczna kuźnia trzeszczy elektrycznymi błyskawicami.

*

WIECZÓR zapowiada się ciekawie. Będzie to rozmowa z rodzicami młodzieży szkolnej w jednej ze szkół podstawowych w Częstochowie.

Sala gimnastyczna Szkoły nr 7, do której nas wprowadzono, uderza estetycznym wyglądem. Nie mogę się oprzeć namowom ob. Kowalskiej i korzystając z chwili wolnego czasu zwiedzam wzorowe przedszkole dla dzieci matek pracujących, zorganizowane w tym budynku. Podziwiam więc niziutkie stoliki, białe szafki, stosy książek z obrazkami, cały raj dziecięcy ucieleśniony w postaciach misiów, lalek i kucyków. Ob. Kowalska zwierza mi się z różnych drobnych kłopotów i dużych radości, jakich niemało dostarcza życie przedszkola. Dalszą rozmowę przerywa sygnał, że już czas na salę. Wcho-

(Dokończenie na str. 11)

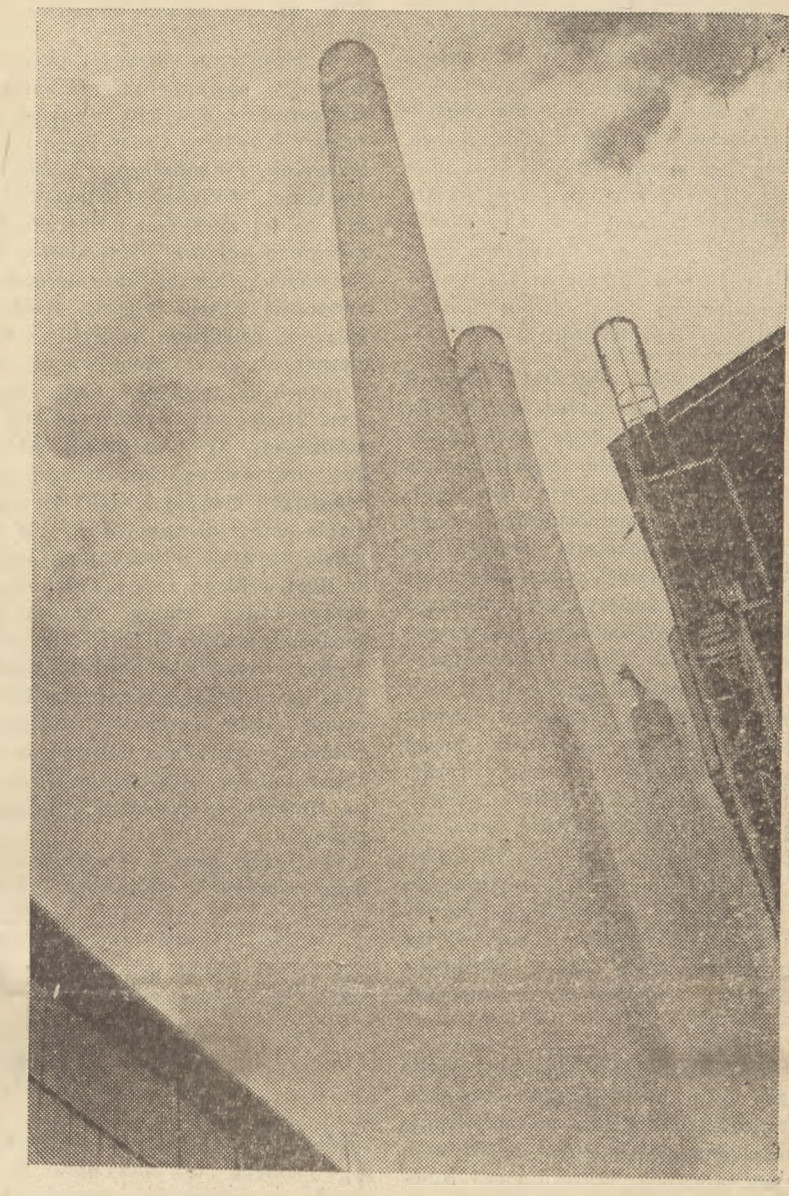

Kominy Huty im. Bolesława Bieruta

fot. C.A.F.

XIX Zjazd WKP(b)

W NIEDZIELĘ 5 października 1952 w wielkiej sali Pałacu Kremlowskiego w Moskwie nastąpiło otwarcie XIX Zjazdu Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Zjazdy Partii Bolszewickiej miały zawsze olbrzymie znaczenie historyczne. Najpierw w okresie przedrewolucyjnym wytyczały one drogi walki o obalenie ustroju kapitalistycznego i caratu, a następnie po zdobyciu władzy przez klasę robotniczą formułowały etapy i najważniejsze zadania w budowie nowego państwa radzieckiego. Równocześnie też zjazdy te przeprowadzały szeroko zakrojoną ocenę sytuacji międzynarodowej i nakreślały zasadnicze linie polityki zagranicznej Związku Radzieckiego. Obok tego zjazdy WKP(b) jako przodującej partii komunistycznej świata wywierały doniosły wpływ na rozwój ideologii marksizmu-leninizmu, oraz miały istotne znaczenie dla walki wyzwoleńczej proletariatu całego świata przeciw kapitalizmowi.

Ostatni zjazd WKP(b) odbywał się w roku 1939 w przeddzień II wojny światowej. Od tego czasu zaszły w świecie olbrzymie zmiany. Trzecia część kuli ziemskiej wyrwana została z kręgu świata kapitalistycznego, wzrósł autorytet i siła Związku Radzieckiego jako głównego zwycięzcy w walce z hitleryzmem, powstały Chiny Ludowe, rozwinęła się gospodarka krajów demokratyczno-ludowych, okrzepła Niemiecka Republika Demokratyczna. Jednakże światu zagraża niebezpieczeństwo nowej wojny, ku której inspiracja wychodzi z kierowniczych kół polityki amerykańskiej. W dalekiej Korei trwa wojna pod znakiem ONZ, w Niemczech i Japonii dokonuje się intensywnej remilitaryzacji. W tej sytuacji obrady Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego mają olbrzymie znaczenie dla sprawy zachowania pokoju w świecie.

XIX Zjazd WKP(b) poprzedziło ogłoszenie wytycznych Komitetu Centralnego WKP(b) w sprawie nowego planu 5-letniego w ZSRR, oraz w sprawie zmian statutu partii. Równocześnie z wyborem delegatów na zjazd odbyła się dyskusja nad tymi wytycznymi.

Bezpośrednio przed zjazdem opublikowana została w czasopiśmie „Bolszewik" praca J. W. Stalina pt. „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR". Praca Stalina nawiązuje do dyskusji jaka toczyła się wśród ekonomistów radzieckich w listopadzie 1951 roku wokół projektu podręcznika ekonomii politycznej. W pracy swej zajmuje się Stalin szeregiem podstawowych zagadnień ekonomii socjalistycznej. Precyzuje w niej pojęcie praw ekonomicznych, w szczególności przeciwstawia się twierdzeniu jakoby w warunkach socjalizmu państwo stwarzało nowe prawa ekonomiczne. W przeciwieństwie do tego przypomina Stalin w swej pracy o obiektywnym charakterze praw ekonomicznych. Obok problemu produkcji towarowej, oraz zagadnienia prawa wartości w warunkach socjalizmu rozpatruje dalej Stalin w swej pracy zagadnienie miasto—wieś i praca umysłowa — praca fizyczna. Przeprowadza tu rozróżnienie między likwidacją przeciwieństw a likwidacją różnic między miastem i wsią oraz między pracą umysłową a pracą fizyczną. Precyzuje, że w warunkach socjalizmu obok zaniku przeciwieństw można mówić o zaniku istotnej różnicy, nie zaś o zaniku wszelkich różnic. Dalszym podstawowym elementem pracy Stalina jest teza o rozpadnięciu się jednolitego kapitalistycznego rynku światowego, powstaniu dwóch rynków oraz pogłębianiu się światowego kryzysu systemu kapitalistycznego. W związku z tym wskazuje też Stalin w swej pracy na nieuchronność wojen między krajami kapitalistycznymi. Następnie rozpatruje zagadnienie podstawowych praw ekonomicznych współczesnego kapitalizmu i socjalizmu, oraz inne problemy. Druga część pracy Stalina zawiera: „Odpowiedź tow. A. J. Notkinowi", „O błędach tow. L. D. Jaroszenki" i „Odpowiedzi towarzyszom A. W. Saninej i W. G. Wenżerowi".

5 PAŹDZIERNIKA o godz. 19-ej w obecności Stalina, członków Biura Politycznego i ponad tysiąca delegatów W. M. Mołotow otworzył Zjazd. W przemówieniu inauguracyjnym Mołotow oddał hołd poległym i zmarłym działaczom WKP(b) oraz omówił znaczenie zjazdu.

W pierwszym punkcie porządku dziennego obszerny referat sprawozdawczy KC WKP(b) wygłosił sekretarz Komitetu Centralnego G. M. Malenkow. Po obszernej analizie ekonomicznej i politycznej sytuacji świata i na jej tle sytuacji Związku Radzieckiego referat Malenkowa we wnioskach precyzuje zadania Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w dziedzinie polityki zagranicznej. Są to: 1) kontynuacja walki przeciwko przygotowaniom wojennym; 2) polityka współpracy międzynarodowej; 3) umacnianie stosunków przyjaźni z Chinami, krajami demokracji ludowej i NRD; 4) umacnianie potęgi obronnej ZSRR. W zakresie sytuacji wewnętrznej Związku Radzieckiego referat Malenkowa przeprowadza analizę rozwoju gospodarki narodowej ZSRR w przemyśle i rolnictwie, wzrostu dobrobytu materialnego i rozwoju kulturalnego oraz kreśli we wnioskach zadania w dziedzinie dalszego umacniania ustroju radzieckiego i dalszego rozwoju gospodarczego i kulturalnego.

W drugim punkcie porządku dziennego referat sprawozdawczy Centralnej Komisji Rewizyjnej WKP(b) wygłosił przewodniczący Komisji P. G. Moskatow. Po dyskusji nad obydwoma referatami, w której zabierali głos przedstawiciele partii komunistycznych różnych republik związkowych, a także członek Biura Politycznego WKP(b) L. P. Beria, Zjazd uchwalił rezolucję aprobującą linię polityczną i działalność praktyczną Komitetu Centralnego WKP(b).

Na XIX Zjazd WKP(b) przybyli również zaproszeni przedstawiciele partii komunistycznych i robotniczych z szeregu krajów. W zjeździe uczestniczyła delegacja Komitetu Centralnego PZPR w składzie: Przewodniczący KC PZPR Bolesław Bierut oraz członkowie Biura Politycznego: Franciszek Mazur i Edward Ochab. Przewodniczący delegacji KC PZPR Prezydent Bierut wygłosił w dniu 7 października przemówienie, w którym powitał Zjazd w imieniu KC PZPR.

Trzeci punkt porządku dziennego obejmował referat w sprawie dyrektyw Zjazdu dla piątego 5-letniego planu rozwoju ZSRR na lata 1951 — 1955. Referat ten wygłosił przewodniczący Państwowego Komitetu Planowania ZSRR M. Z. Saburow. Referat nakreślił nowe, olbrzymie zadania w dziedzinie dalszego, pokojowego rozwoju gospodarczego i kulturalnego ZSRR.

Następnie sekretarz Komitetu Centralnego WKP(b) N. S. Chruszczow wygłosił referat w sprawie zmian w statucie WKP(b), która odtąd przyjmuje nazwę Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W dalszym ciągu Zjazdu odbyła się dyskusja, w ramach której zabrał także głos J. W. Stalin.

MAURRAS ZNÓW NA WIDOWNI

NAZWISKO Karola Maurrasa nie jest obce światowej opinii katolickiej. Maurras — twórca i przywódca ruchu „Action Française" usiłującego zdyskontować autorytet moralny Kościoła dla szowinistycznej polityki konserwatywnej — pomimo tego wszystkiego co zaszło między nim a Stolicą Apostolską, uważany jest przez skrajnych konserwatystów za postać reprezentatywną dla katolicyzmu francuskiego. Ostatnio głośnym echem odbił się we Francji list otwarty Karola Maurrasa do obecnego szefa rządu francuskiego Antoniego Pinay. W liście tym, ogłoszonym na łamach neofaszystowskiego pisma „Aspects de la France", Maurras daje wyraz swemu uznaniu dla tych poczynań premiera-kolaboracjonisty, które rozwiały w całym świecie ostatki złudzeń co do dzisiejszego oblicza demokracji w zmarshallizowanej Francji.

Ale przypomnijmy pokrótce karierę polityczną Maurrasa, co ułatwi nam właściwą ocenę jego ostatniego posunięcia, tak zresztą logicznego w całokształcie zajmowanych przezeń pozycji ideologicznych. Ruch „Action Française" zrodził się z fali francuskiego szowinizmu narodowego po klęsce r. 1870/71. Od samego początku swego istnienia ruch Maurrasa stawiał jako cel nadrzędny i zasadniczy obronę tego, co nazywał on „ładem francuskim". Katolicyzm dla Maurrasa nie był bynajmniej celem, był tylko środkiem, ale udawało mu się przez długie lata ustawiać się wobec opinii w pozycji jedynego i najwierniejszego obrońcy Kościoła. Stosunek Maurrasa do katolicyzmu był wybitnie pozytywistyczny — walory nadprzyrodzone katolicyzmu dla niego nie istniały, Wedle Maurrasa ów ład francuski to monarchia ancien règime'u, odrestaurowana na gruzach republiki, demokracji i modernizmu. W katolicyzmie upatrywał Maurras swego naturalnego sojusznika ze względu na silnie zakorzenione wśród katolików poczucie dyscypliny wobec autorytetu. Nie trzeba ukrywać, że całe niemal prawe skrzydło katolickiej opinii francuskiej uznało Maurrasa za swego duchowego przywódcę. W poszczególnych okresach „Action Française" zdobyła poważne wpływy wśród młodzieży katolickiej. Umiejętnie spekulowała ona na filokonserwatywnych sympatiach politycznych burżuazyjnej części katolików francuskich. Jedynie bardziej czujni katolicy spostrzegli jak ogromne pomieszanie pojęć wnosi ruch Maurrasa i w jak wielkim stopniu deprawuje on młodzież. Wychodząc z założeń pozytywistycznej filozofii społecznej, Maurras uważał politykę za sprawę zupełnie wyłączoną spod kontroli etyki i proklamował hasło „politique d'abord" — polityka przede wszystkim. Maurras hardo zaoponował rzuconemu przez Stolicę Apostolską w 1926 r. potępieniu „Action Française". Z upływem lat, wszakże, wpływy „Action Française" maleją na korzyść rozwijającego się ruchu katolicko-społecznego a w r. 1939 anatema została zdjęta.

Klęska Francji w r. 1940 znowu wprowadza Maurrasa na arenę życia politycznego. Ów apostoł „nacjonalizmu integralnego" i restauracji państwa stanowego o silnej dyscyplinie i bezwzględnym autorytecie władzy, staje się teraz niejako ojcem duchowym robionej przez Petaina „rewolucji narodowej". Przyznać trzeba, że jakkolwiek daleko posunął się Maurras w swym kulcie rządów dyktatorskich, to zwolennikiem nazizmu we Francji nie był. Ale był przecież pełen uznania dla „rozumnej" polityki Pétaina, łączącego kolaborację z okupantem i konserwatywne tendencje społeczne z podstępnym pasowaniem Kościoła na pierwszy autorytet w państwie. Ale jak to określił francuski publicysta katolicki J. L. Dumas, „zbrodnią było pociągnięcie za sobą mas ku majakom paterializmu i serwilizmu reżimu Vichy, zmarnowanie energii ludzi mu oddanych — w kulcie dla dyktatury".

I ten oto Karol Maurras, skazany przez trybunał narodowy na dożywotnie więzienie za kolaborację, uwolniony zresztą niedawno ze względu na bardzo już sędziwy wiek, ogłasza list otwarty do premiera Pinay. Przypomnieć trzeba, że Pinay głosował w r. 1940 za pełnomocnictwami dla Pétaina, a potem w reżimie Vichy piastował godność radcy gabinetu. K. Maurras zwraca się zatem do p. Pinay jako do starego towarzysza broni. Faszystowskie metody rządzenia Francją przyjmowane przez p. Pinay zyskują mu uznanie Maurrasa: *„Posiada Pan opinię człowieka uczciwego i wszystko wskazuje na to, że zasługuje Pan na taką opinię. Zasiadał Pan w Radzie Narodowej marszałka Pétaina, a gdy nadeszły czarne dni* (tak wyraża się on o wyzwoleniu Francji w r. 1944 — przyp. I. R.) *nie wyparł się go Pan... Pański program rządowy jest programem rozsądnym... Panie Antoni Pinay, Pańska polityka jest dobra i zdrowa..."* Tutaj następują słowa o „niezbędnej akcji przeciwko komunizmowi", która nie powiodła się ostatnio (sławetne ośmieszenie się z aresztowaniem Duclos i Stila) wskutek pożałowania godnej krnąbrności (!) francuskiej magistratury. I oto wymowna konkluzja: *„Jednak Francja trzyma się jeszcze... i Pan jest na swoim posterunku. Pańskie braki nie przesłaniają nam Pańskich zalet. Nie wolno nam rozpaczać."*

W tych dniach sierpniowych, kiedy Francuzi obchodzili 8 rocznicę wyzwolenia kraju spod terroru hitlerowskiego i ohydy kolaboracji vichystowskiej, w tych właśnie dniach Karol Maurras miał czelność opublikować list sławiący zasługi obecnego premiera Pinay dla niesławnej pamięci „rewolucji narodowej" marszałka Pétain. Nie to jest jednak smutne, że Maurras taki list napisał i polecił wydrukować swoim kamelotom, smutne jest to, że adresat listu znajduje się na czele gabinetu w kraju, który zalicza się do rzędu tych, co złożyły wielką daninę krwi na ołtarzu walki z przemocą faszystowską, walki o wolność Europy i świata. List ten nie może być potraktowany inaczej jak policzek wymierzony wszystkim uczestnikom Ruchu Oporu, którzy wierząc we Francję chcieli dla niej lepszych dni.

I wydaje się, że nie jest pozbawiony najgłębszej wymowy tytuł artykułu Fr. Genièvre w „Témoignage Chrétien": „Staję się znowu członkiem ruchu oporu". Oto bowiem prosta uczciwość wymaga dziś od Francuzów wstąpienia w szeregi ruchu oporu przeciwko takiemu rządowi, który jawnie toleruje bezwstydną rehabilitację zdrady narodowej. A takich właśnie sojuszników wybiera sobie agresywna polityka amerykańska.

Ignacy Rutkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

„PRZEGLĄD KULTURALNY"

KAŻDY kto śledzi z zainteresowaniem ruch umysłowy i życie kulturalne kraju musiał przyklasnąć inicjatywie stworzenia nowego tygodnika i z radością powitać ukazanie się jego pierwszych numerów. „Przegląd Kulturalny" wypełnia niewątpliwie lukę jaka istniała pomiędzy pismami o wyraźnej przewadze zainteresowań literackich z jednej strony a ściśle fachowymi periodykami poświęconymi problematyce poszczególnych sztuk. Luka ta zresztą nie była bynajmniej przypadkowa. Odzwierciadla ona odziedziczony po przeszłości a charakterystyczny dla naszego kraju brak szerokiego zainteresowania takimi dziedzinami sztuki, jak muzyka czy plastyka. W istocie w Polsce większość ludzi nawiązuje kontakt ze światem sztuki wyłącznie za pośrednictwem literatury. Wystarczy zestawić dla przykładu naszą kulturę muzyczną i kulturę muzyczną naszych sąsiadów zarówno wschodnich jak zachodnich aby uświadomić sobie jak bardzo niekorzystnie dla nas wypada takie porównanie.

Ze względu na te niedomagania w naszym życiu kulturalnym już samo pojawienie się pisma poświęconego wszechstronnej problematyce sztuk pięknych trzeba powitać ze szczerą radością. Równocześnie trzeba uznać, że przed nowopowstałym „Przeglądem Kulturalnym" stają zadania poważne i w naszym życiu kultury nowe.

Od razu powiedzmy otwarcie, że sądząc z pięciu pierwszych numerów pisma, nie udało mu się dotychczas całkowicie zwycięsko wybrnąć z trudności i odnaleźć trafną, nie nasuwającą zastrzeżeń drogę. Jest to zresztą zrozumiałe jeśli wziąć pod uwagę wspomniany u nas brak dostatecznie szerokich, powszechnych zainteresowań różnymi dziedzinami sztuki.

Ale szerokość wachlarza zainteresowań to bynajmniej nie jedyne trudności jakie stoją przed nowym pismem. Musi ono przede wszystkim sprostać zadaniom jakie stawia dokonująca się rewolucja kulturalna, określana potocznie mianem upowszechnienia kultury. Wszystko co pisano dotąd na ten temat — a pisano wiele — nie zdołało naszym zdaniem dostatecznie wyraziście i sugestywnie przedstawić doniosłości tego problemu. Mimo bowiem wielkich wysiłków prasy ciągle jeszcze wielu ludzi nie uświadamia sobie należycie, że zawrotnie rosnące liczby nakładów, bibliotek czy widzów to tylko zewnętrzny wyraz autentycznego tętna twórczego życia kultury w najszerszych masach — że najistotniejszy sens i zdobycz rewolucji kulturalnej to wyzwolenie sił twórczych, a upowszechnienie gotowych wartości kultury to tylko jeden ze środków zmierzających do tego celu.

Istotnym przeto zadaniem w tej dziedzinie jest najściślejsze związanie i zespolenie „szczytów" kultury z jej fundamentem a więc z całym uaktywnionym kulturalnie społeczeństwem. I stąd wypływa zarzut pod adresem pierwszych numerów „Przeglądu Kulturalnego", (zarzut pod którym kryje się zresztą pełne uznanie dla jego ambicji postawienia problematyki współczesnej rewolucji kulturalnej). Mianowicie zarzut, że dotychczas nie zdołał pogodzić na swych łamach wymogu najwyższego poziomu twórczego z wymogiem koniecznej dostępności dla wszystkich. Czy te żądania wzajemnie się wykluczają? Jestem przekonany, że nie.

„Przegląd Kulturalny" z widoczną konsekwencją (po pięciu numerach można już to stwierdzić) stawia problemy istotne dla poszczególnych, ogarniających cały kraj, procesów kulturalnych. Równocześnie jednak, jak dotąd, w niedostatecznej może mierze zbliża on czytelnika do najbardziej twórczych nurtów nowej sztuki, do pracowni artystów i problemów związanych z ich warsztatem twórczym. Zmniejsza to nie tylko atrakcyjność problematyki kultury, ale również w pewnej mierze daje jednostronny obraz zmian jakim podlega świat wartości kultury. Bo procesom ilościowym, masowym odpowiadają zmiany jakościowe, wyrażające się przede wszystkim w ścisłym powiązaniu życia kultury w całym kraju z najbardziej twórczymi osiągnięciami jednostek.

Zatrzymaliśmy się może zbyt długo na trudnościach, które są trudnościami każdego pisma kulturalnego i każdej pracy na tym odcinku.

Pora teraz z naciskiem podkreślić zasługi jakie „Przegląd Kulturalny" mimo swego krótkiego życia ma na swoim saldzie, które niewątpliwie będzie stale rosło.

Brakowało nam dotychczas bardzo informacji i omówień z terenu, podsumowanych i krytycznie przeanalizowanych. Bez zbliżenia się do tej problematyki nie można rozumieć dokonujących się obecnie najwartościowszych i wyznaczających perspektywę przyszłego rozkwitu kultury przemian.

„Przegląd Kulturalny" daje wiele cennego materiału w tej dziedzinie. Istotne zagadnienia ruchu amatorskiego, kultury regionalnej, czytelnictwa i wiele innych mają obecnie swoją trybunę. Nie ma zbyt mocnych słów aby wyrazić doniosłość tego faktu. Są to bowiem te sprawy dnia dzisiejszego, które wybiegają daleko w przyszłość.

(aka)

Wojciech KĘTRZYŃSKI

ZADANIA NA JUTRO

DZIŚ najczęściej spotykamy się z podziałem katolików polskich na tych, którzy faktycznie pozostali zwolennikami przeszłości, to jest stosunków kapitalistycznych i tych, którzy chcą budować przyszłość swego kraju w oparciu o nowe, socjalistyczne formy ustrojowe. Mówiąc językiem prostszym, aczkolwiek bardziej schematycznym — z podziałem na katolików społecznie reakcyjnych i społecznie postępowych. Jest w tym podziale dużo prawdy, choć bez wątpienia przechodzi on do porządku dziennego nad skomplikowanym splotem uczuć, reakcji, nieporozumień rządzących postawą jeszcze wielu ludzi wobec rewolucji. Nam jednak chodzi tu o najzupełniej inny podział — chcemy rozróżnić tych katolików, którzy w swej postawie kierują się poczuciem odpowiedzialności za swój Kościół, za swą religię, od tych, dla których katolicyzm jest bądź to po prostu odziedziczonym po przodkach zwyczajem, bądź to pustą frazeologią, za którą kryją się nie raz pobudki i względy z religijnością nic nie mające wspólnego. Religijność nie pogłębiona intelektualnie, atmosfera spokoju i zadowolenia z siebie, charakteryzujące liczne środowiska katolickie w okresie przedwojennym — oto zasadnicze przyczyny, dla których taki podział dziś rysuje się nam, jako najbardziej odpowiadający rzeczywistej postawie katolików polskich.

Rewolucja, której jesteśmy świadkami od 1944 roku zburzyła ten spokój. Dziękować Bogu, gdyż nie wróżył on nic dobrego ani indywidualnemu sumieniu chrześcijańskiemu, ani Kościołowi, jako całości. Rewolucja zburzyła ten spokój i postawiła każdego z nas twarzą w twarz wobec najbardziej palącej kwestii — czy będziemy się w dalszym ciągu kierować tą bierną i w gruncie rzeczy egoistyczną postawą, czy też spróbujemy ogarnąć od nowa całokształt problemów, jakie niesie Kościołowi dziejący się przełom i w postępowaniu naszym damy w pełni wyraz ciążącej na nas odpowiedzialności.

KOŚCIÓŁ Katolicki jest wieczny. Oznacza to, mówiąc najprościej, że przeznaczony jest by żyć i działać w każdym ustroju, w każdych, zmieniających się warunkach społecznych i politycznych. Jeśli katolicy głoszą takie czy inne założenia ustrojowe, to czynią to w przeświadczeniu, że odpowiadają one najlepiej potrzebom człowieka w danej epoce. Kościół Katolicki jednak nie uzależnia swej działalności, a tym bardziej swego istnienia od realizacji planów społecznych, głoszonych w danej chwili przez działaczy czy myślicieli katolickich. Gdy upadało cesarstwo rzymskie wielu, nawet spośród najwybitniejszych chrześcijan ówczesnych, nie wyobrażało sobie życia w innym świecie, jak właśnie w rzymskim. A jednak Kościół Katolicki przetrwał okres upadku cesarstwa i potrafił przystosować się do nowych form, jakie ze sobą niósł okres średniowiecza. Identyczny proces przechodziło chrześcijaństwo, gdy załamywało się średniowiecze, gdy budowały się czasy Odrodzenia, gdy Rewolucja Francuska zniszczyła ostatecznie ustrój feudalny. Mimo, iż w każdej epoce żyli katolicy, którzy wyobrażali sobie, że ich religia jest nierozerwalnie powiązana z przemijającym ustrojem, z przemijającą kulturą, z przemijającymi formami społecznymi — Kościół wkraczał w nową epokę by, nie zatracając nic ze swej świętej misji, przystosować się do nowych warunków.

Nie zamierzamy tu wdawać się w historyczną ocenę tych przeszłych wydarzeń. Bez wnikania w niepotrzebne szczegóły można z nich wydobyć niezmiernie istotną lekcję dla nas samych. Gdy katolicy ulegali skłonnościom konserwatywnym, a zdarzało się to im nie raz, to wówczas swą postawą hamowali działalność Kościoła w nowych warunkach. Dosadniej można powiedzieć, że przekładali własne nawyki, własne doczesne zamiłowania, przed obowiązek głoszenia Ewangelii wszystkim czasom i wszystkim narodom. Misja nadprzyrodzona Kościoła Katolickiego zrozumiała jest tylko dla tych, którzy wierzą. U wszystkich ludzi niewierzących ocena Kościoła Katolickiego pokrywa się w całej pełni z oceną samych katolików. Gdy więc katolicy występowali w większości przeciw postępowi społecznemu, przeciw nowej epoce, przeciw dziejącym się wokół przemianom — nie tylko na nich, ale i na Kościół Katolicki padały najcięższe oskarżenia. O reakcyjność, o egoizm, o sprzyjanie możnym, o obronę ustrojów wstecznych oskarżano bowiem nie tylko konserwatywnie nastawionych katolików tej epoki, ale oskarżano katolicyzm, iż swą nauką właśnie te cechy w katolikach miał umacniać.

ŻYJEMY właśnie w epoce takiego wielkiego przełomu. Świat kapitalizmu, świat pojęć mieszczańskich, świat resztek władzy feudalnej załamuje się w naszych oczach. Kapitalizm, wewnętrznie zdegenerowany, obdarzył świat w ostatnim okresie głębokiemi kryzysami, bezrobociem, wzrastającą nędzą mas i przepychem uprzywilejowanych jednostek, najkrwawszymi wojnami, wyzyskiem kolonialnym tak ohydnym, że zmobilizował przeciw sobie solidarny bunt wszystkich ludów kolonialnych. Otoczony powszechną nienawiścią i pogardą broni się dziś świat kapitalistyczny jedynymi dostępnymi mu środkami — przekupstwem i strachem. Nagromadzone złoto sypie do rąk najemników i zdrajców, podczas gdy buntujące się masy ludowe próbuje utrzymać w ryzach przy pomocy terroru policyjnego, a gdy to nie pomaga — przy pomocy płonącego napalmu, rozsiewając zarazę, a w ostateczności stosując ludobójczą broń atomową. Kultura mieszczańska gnije w naszych oczach. Owocem tego rozkładu był faszyzm, rasizm, obozy śmierci, kult dla obłąkanych führerów. Owocem tego jest na Zachodzie rozkładowa literatura, pełna przestępczości, zboczeń, beznadziejności, jest żądza zysku podniesiona do najwyższych godności. Byłoby bez wątpienia zaślepieniem nie dostrzegać obok tego bagna, dzieł wielkich i pięknych, jakie daje wciąż kultura zachodnia. Nie zapominając o nich w żadnym razie, trzeba jednak pamiętać również, iż toną one w powodzi zepsucia i nędzy moralnej, jakiej przeciwstawia się zdecydowanie tylko zdrowa i dynamiczna postawa mas, chcących budować kulturę własną, oczyszczoną z rozkładowych wpływów ginących już idei mieszczańskich. Feudalizm zaś, to szczątki epok już dawno minionych, które wywarły jednak przemożny wpływ na stosunki na wsi, nie tylko u nas w Polsce, ale jeszcze w wielu innych krajach na całym świecie. Była to po prostu forma zachowania stosunków poddańczych, gdy ludzka siła robocza, zaprzęgnięta obok zwierząt do czynności gospodarczych, miała zapewnić nielicznym uprzywilejowanym życie dostatnie i pełne wygód życiowych.

Dla każdego, kto się uważnie rozejrzy w świecie dzisiejszym nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że stosunki takie są skazane na nieuchronną zagładę. Wszelkie próby angażowania autorytetu Kościoła, religii katolickiej, w obronę tej przeszłości są, rzecz prosta, skazane na niepowodzenie. Co gorzej, są one nadużywaniem autorytetu religii i Kościoła, a w rezultacie prowadzą prostą drogą do gwałtownego konfliktu między postawą religijną a zadaniem budowania nowej epoki dla ludzkości. Kto tak postępuje, daje jawny dowód iż religia i przynależność do Kościoła Katolickiego jest tylko zasłoną dymną, za którą kryje się po prostu przywiązanie do dawnych stosunków, lub też nie mniej potępienia godny strach przed perspektywą przemian, niechęć do koniecznych osobistych poświęceń w trudnym okresie budowania nowego a burzenia starego życia.

W POLSCE Kościół uznał potrzebę uregulowania stosunków z nową polską władzą ludową, budującą nowy, socjalistyczny ustrój naszego narodu. Zagadnienie to znalazło swe podstawowe rozwiązanie w układzie o Porozumieniu między Kościołem a Państwem, podpisanym w roku 1950. Akt ten podpisany przez przedstawicieli Episkopatu świadczył, przede wszystkim, po stronie katolickiej o trosce, by odciąć się od wszelkich sugestii, iż katolicyzm nasz jest nieuchronnie powiązany z przeżytkami epoki kapitalistycznej. Sformułowania Porozumienia podkreślały nadrzędność misji apostolskiej Kościoła i potwierdzały prawdę, iż Kościół Katolicki może i pragnie wykonywać swe zadania w każdej epoce, w każdym ustroju. Z drugiej strony akt ten określał podstawowe warunki, w jakich ma się rozwijać działalność katolicka w Polsce Ludowej. Dla tych wszystkich, którzy przeżywali już od dawna poczucie odpowiedzialności za katolicyzm w epoce socjalizmu — akt Porozumienia był dniem wielkiej radości. Potwierdzał bowiem wobec wszystkich wątpiących, że Kościół Katolicki w żadnej mierze nie musi się wiązać z załamującym się światem kapitalizmu, by realizować swe apostolskie obowiązki w przyszłości.

Jest jednak faktem, że poważna część katolików polskich zajęła na samym początku przeobrażeń rewolucyjnych stanowisko negatywne wobec Polski Ludowej. Dotyczy to przede wszystkim wielu ośrodków intelektualnych, wielu duchownych, oraz tych środowisk, których sytuacja klasowa pchała nieuchronnie pod wpływy najbardziej reakcyjnej propagandy zagranicznej. Marksista nie bez racji w wielu wypadkach utożsamiał postawę katolicką z postawą reakcyjnej negacji zachodzących w Polsce przemian społecznych. W tych warunkach przeto zasady zawarte w Porozumieniu mają sens o tyle tylko, o ile czynić się będzie konsekwentne wysiłki, by różnice światopoglądowe nie przybierały charakteru sporu politycznego, a wpływy reakcyjne na katolików — wytrwale likwidować. Ci spośród katolików polskich, którzy wyobrażali sobie, że pozostając na pozycjach wyraźnie reakcyjnych, będą mieli prawo korzystać z zasad modus vivendi — zawiedli się w sposób oczywisty. W gruncie rzeczy im jednak nie chodziło o wolność religii, lecz o wolność szerzenia, łącznie z zasadami religii, swych reakcyjnych poglądów społecznych.

WNIOSEK stąd wypływa oczywisty: zasady zawarte w akcie Porozumienia o tyle tylko rozwiązują aktualną problematykę stosunków Kościół — Państwo, o ile będą w życiu narodowym realizowane przez katolików społecznie postępowych, przez katolików odnoszących się bez reakcyjnych uprzedzeń do naszej rzeczywistości, przez katolików budujących własnymi rękami społeczno-gospodarcze cele określone w planie sześcioletnim. Tylko w oparciu o tę postawę możemy przystąpić do rozwiązywania trudnych i palących problemów współżycia w Polsce Ludowej światopoglądu katolickiego i światopoglądu marksistowskiego. Każde inne podejście do tego problemu nie prowadzi do właściwego, pozytywnego rozwiązania.

Tak określona postawa pozostawia katolikom jeszcze bardzo szeroki wachlarz poglądów i stanowisk. Są między katolikami, tak w Polsce, jak i na całym świecie tacy, którzy dopatrują się w socjalistycznych założeniach społeczno-ustrojowych elementów tak dalece zgodnych z chrześcijaństwem, że pozwalają im na świadome współbudowanie socjalizmu z odcięciem się od tego wszystkiego co jest związane w sposób nieunikniony z materialistycznym pojmowaniem świata. Są inni zaś, którzy problematyki socjalizmu nie przeżyli, nie rozumieją, tak jak nie potrafią się jeszcze wczuć w istotę wyzwoleńczej walki światowego proletariatu. Są oni bierznymi świadkami zachodzących przemian. Jeśli jednak poczucie odpowiedzialności za misję dziejową Kościoła Katolickiego każe im się zachować lojalnie wobec tych przemian, każe im odciąć się od wszelkich wpływów propagandy kapitalistycznej, wyzwolić się z roli narzędzia reakcyjnych prowokacji — to i oni są zdolni do budowania w Polsce Ludowej zrębów nowych, zdrowych stosunków między Kościołem Katolickim a Państwem Ludowym.

Front Narodowy Polski Ludowej stoi otworem tak przed jednymi jak i przed drugimi. Jeśli w naszych wewnętrznych dyskusjach między katolikami nie jest rzeczą obojętną, czy kierują nami pobudki natury wyłącznie religijnej, czy także społecznej, o tyle wobec zadań Frontu Narodowego jesteśmy ściśle zjednoczeni.

ZBLIŻAJĄCY się okres wyborów do nowego Sejmu nie wnosi do naszego życia publicznego nowej problematyki. W przeciwieństwie do wyborów w krajach kapitalistycznych, gdzie na wybory wydobywa się z lamusa hasła na codzień zapominane, w Polsce Ludowej wybory toczyć się będą wokół konfrontacji założeń znanych nie od dziś, z osiągnięciami całego okresu budowy Polski Ludowej. Mamy za sobą lata ciężkiej pracy nie tylko nad podniesieniem Polski z ruin, ale i nad budowaniem jej nowego oblicza. Znamy plany na przyszłość, wiemy o czekających nas obowiązkach, tak w zakresie twórczym, jak i w zakresie zapewnienia masom pracującym spokoju i bezpieczeństwa. Front Narodowy zrzesza tych wszystkich, którzy w przeszłości wzięli na siebie obowiązki budowania Polski Ludowej, przeto i na przyszłość są gotowi za jej budowanie odpowiadać. Dlatego we Froncie Narodowym jest miejsce i dla tych wszystkich świadomych katolików, którzy swą pracą i swą postawą przyczynili się do wzrostu siły i bogactwa swej Ojczyzny.

W tych też ramach pragniemy na przyszłość pracować nad rozwiązywaniem naszych problemów katolickiego życia. My, katolicy, pragniemy mieć wzorowych katolickich kapłanów, godnych przedstawicieli Kościoła, ale i jednocześnie, wśród wiernych, nauczycieli społecznego postępu. Pragniemy mieć katolickie czasopisma, katolickie książki, katolickich uczonych, lecz chcemy, by ich twórczość służyła również sprawie sprawiedliwości społecznej, sprawie pokoju, postępowi myśli ludzkiej. Pragniemy, by nasze dzieci uczyły się zasad swej wiary, by w kościołach Bóg był wielbiony, by w jedności Kościoła Powszechnego katolicyzm polski zajmował należne mu miejsce. Będziemy jednak te postulaty realizować w zgodności z celami ogólnonarodowymi, z troską o dobrobyt, o przyszłość i o bezpieczeństwo Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wojciech Kętrzyński

Kazimierz Piekut

Pociąg odchodzi po północy

Jutrzenka przejeżdża nad stacją
w centaury zaprzężonym wozem.
Kolejarze machają latarkami.
Jazgot świateł.
Dworzec.
Granatowo chrzęści nocy aksamitu łuska,
syk pary strzela dymem w księżyc,
gwiazdom z czół blask strąca,
semafor krzywym cieniem na szlaban się rzucił.
szyny dzwonią nerwami stali
— rytm i liryka huty.
Lokomotywa parska sadzą lampom prosto w oczy.
Koguty pieją w mieście zwykle po północy.
Zmęczenie podróżnych
z pianiem kogutów się miesza
i peszy się na szybach
— niezgrabne refleksy,
kiedy zawiadowca,
niosąc na piersiach chybotliwy płomyk
wchodzi uważnie na peron —
jakby otwarte serce niósł na dłoni.

Józef DUŻYK

List do Marcina Andersena Nexő

„Najpiękniejsze w niej było po dawnemu serce, a serca — nie ceni świat. Dlatego to natura przewidująco ukryła je — w piersi".

M.A. Nexö, Ditta.

Panie Marcinie,

NIE znam Pana osobiście, nigdy nawet Pana nie widziałem, chociaż po wojnie był Pan w Polsce. Patrzyłem tylko na zdjęcia fotograficzne tak, że na pewno poznałbym Pana od razu. Choć nie znamy się, postanowiłem do Pana napisać list, ale nie o sobie, tylko o książce Pana.

Pierwszy raz sięgnąłem po książkę Pana dopiero kilkanaście dni temu. Traf chciał, że wybrałem „Dittę". Może dlatego, że u nas w kinach wyświetlają film oparty na tej powieści. „Ditta" spowodowała ten list. Chciałbym, żeby doszedł do Pana.

Dzieli nas dużo: najpierw wiek, potem poglądy. Pan jest człowiekiem starszym, doświadczonym, ja dopiero uczę się żyć, wchodzę nieraz w nowe dla mnie dziedziny, patrzę na nowe rzeczy, dziwię się. Spotykam radości i rozczarowania. A drugie to różnica w naszym światopoglądzie. Pan jest marksistą, ja jestem katolikiem, wierzę w Boga i nieśmiertelność duszy ludzkiej. Ale jedno nas łączy: wspólna miłość do człowieka, wiara w jego siły, jego zamierzenia i plany, wspólna nienawiść do wojny, do bomb i kul szarpiących życie ludzkie. Obaj chcemy pokoju w zmęczonym świecie, obaj chcemy spokojnych, jasnych chwil już bez nienawiści, bez trosk i krzywd i krwi.

Pan jest wielkim humanistą. Tylko humanista mógł napisać „Dittę". I tylko dla humanisty będzie ona powieścią prawdziwą, realną, bez krzty zakłamania. Wybredny esteta, smakosz literacki, biorący każdą książkę w rękawiczkach i niedbale, artystycznie przerzucający — jak gdyby od niechcenia — jej karty, będzie z niesmakiem czytał niektóre fragmenty „Ditty", zbyt często — wydawało by się — kipiące tłumem słów ostrych, brzydkich, nieliterackich. Dla mnie są to słowa prawdziwe, a choć ostre i niemiłe, wzięte przecież wprost z życia, z biednej chałupy czy nędznej uliczki wielkiego miasta.

Twoja książka, panie Marcinie, jest książką o człowieku, którego życia, jak piszesz *„nie można powtórzyć. Podobne jest do szlaku komety, który raz tylko przecina horyzont, podobne jest do świetlistej smugi pomiędzy mrokiem dwóch wieczności..."* Po przeczytaniu Twej książki stwierdziłem, że dwa jej rozdziały są najistotniejsze. Spinają one dwiema klamrami opis krótkiego życia Ditty. Pierwszą klamrą jest rozdział zatytułowany „Urodziło się dziecko". Przykre są słowa, które tu piszesz, niemniej jednak są gorzką, piekącą prawdą. *„Ach, człowiek nie jest gwiazdą, przez której odkrycie i określenie można zdobyć sławę. Częstokroć jest natrętnym, nieproszonym gościem, który ukradkiem wchodzi w świat poza plecami ludzi szanownych, nic nie podejrzewających; jest intruzem, przedzierającym się poprzez dziewięciomiesięczny czyściec".* A drugi rozdział to rozdział ostatni „Człowiek umarł". Smutny, bo o ile przy czytaniu tamtego tliła się w sercu czytelnika jakaś nadzieja, myśl o pomyślnym zakończeniu powieści, tu w oczach czytającego perlą się łzy i smutek wstępuje na twarz... Piszesz, że Ditta *„wzięła na swe barki ciężar życia i dźwigała go z pożytkiem. Ziemia stała się bogatsza przez nią, lecz nie przyznano jej tego; była tylko jedną z wielu bezimiennych — dzieckiem ludzkim, którego znakiem szczególnym są ręce zawsze szorstkie od pracy.*

Pochowano ją w kącie cmentarza — tam, gdzie groby mają być jak najprędzej zrównane z ziemią, by mogły ustąpić miejsca nowym; pochowano ją na koszt gminy. Był to jedyny zaszczyt, jaki spotkał ją w życiu, lecz i tego zaszczytu nie udzielono jej z dobrej woli".

Bezlitośnie chłoszczesz, pisarzu duński, niesprawiedliwość, krzywdę społeczną. Pokazujesz na kartkach swej książki nagą prawdę, nie osłoniętą niczym, żadnym welonem usprawiedliwienia.

Wprowadzasz swą Dittę natychmiast do pracy, nie dajesz jej przeżyć dzieciństwa. Wtykasz jej do ręki stary chodak z punkcikami oczu, nosa i ust i mówisz, że to lalka. Twoja Ditta rośnie nie przeżywając tego, co powinno przeżywać dziecko. *„W dzieciństwie nie miała czasu na zajmowanie się zabawkami i oto w duszy jej wyschły wszystkie źródła. Wiele przecież wody upłynęło od czasu, kiedy to dość było babci namalować twarz na starym chodaku Söreny i owinąć go w gałganek, aby Ditta od razu miała towarzysza zabaw. Długie i ciężkie życie leżało pomiędzy dniami tamtymi, a dniem dzisiejszym".* Ditta ma zaledwie 25 lat gdy umiera. Przeżyła więcej. Sama się dziwi, gdy Karol jej mówi:

„Nie zapominaj, że masz raptem 25 lat.

— Nie więcej?... Rzeczywiście! — Ditta roześmiała się radośnie. — A ja już wyobrażałam sobie, że jestem taka stara... tyle przecież przeżyłam. Doprawdy, zużyta jestem pewnie zupełnie, zdarta, i trzeba mnie teraz przetopić jak stary kalosz. Cała wieczność minęła chyba od czasu, gdy jako mała dziewczynka biegłam trzymając za rękę babunię".

Świat kapitalistów i wyzyskiwaczy rodził takie Ditty-nędzarki, których życie było nieustanną pracą, litanią głodu i chłodu, bólem i troską i trwogą przed jutrem. Kwilące niemowlę w kołysce czy ssące pierś matki nie rozumiało krytycznych chwil, nie wiedziało, że matka nie ma pieniędzy, że goni za najdrobniejszą monetą, za kromką chleba i łachmanem odzienia. Mały Piotruś przybrany syn Ditty też gonił za chlebem, aż pewnego dnia wpadł pod koła wagonu i stracił swe, jakżeż krótkie, życie.

PANIE Marcinie! Pokochałem Twą Dittę. Za jej odwagę, za codzienne bohaterstwo, za mężne borykanie się z trudnościami. I za tę jej radość życiową. Przecież niewiele było takich sytuacji, w których by Ditta płakała i roztkliwiała się nad sobą. *„A Ditta nie chciała więcej płakać — za nic w świecie! Płaczą przecież tylko dzieci i podlotki".* Pracę, z którą poznała się prawie natychmiast po wyjściu z kołyski, kochała. Piszesz: *„Właściwa Ditcie pogoda, głęboko tkwiąca w jej duszy, wypowiadała się przeważnie w radosnym porywie, z jakim przystępowała do wszelkiej roboty, wszystkie uciechy życia skupiły się dla niej w pracy, od chwili gdy warunki pozbawiły ją zabaw i rozrywki".* Piszesz dalej:

„Ditta była urodzoną robotnicą z łaski Bożej. Życie w ogóle nie było dla niej hojne pod względem radości, za to nie poskąpiło jej radości pracy i Ditta rozkoszowała się nią, niby nagrodą serca za swój własny trud... W pracy ukazywała się jak gdyby cała jej istota, niby skromny, ale pożyteczny kwiat". Opieka nad babunią, nad cudzymi dziećmi, nad Karolem i

Jerzym, ludźmi, którzy wpletli się w jej życie, przynosiła jej zadowolenie. *„Ditta posiadała specjalny dar rozkoszowania się życiem, gdy przyłożyła rękę do dobrej sprawy".* Gdzie indziej znów czytam takie zdanie: *„Ditta nie umiała oszczędzać się, gdy trzeba było pracować dla innych, pomóc innym, uczynić, aby było im jak najlepiej; żywe w niej było bardzo uczucie solidarności".*

Wiele jest takich zdań w Twej książce, tak że miejsca nie stanie w liście na ich cytowanie. Są to zdania-perły, bezcenne wprost uwagi o życiu ludzkim, o jego radościach i smutkach. Sumiennie studiowałeś to życie, Panie Marcinie. Nie studiowałeś go tylko i wyłącznie w zacisznej pracowni pisarskiej, wyłożonej miękkimi dywanami, które nie przepuszczają żadnych szmerów z zewnątrz. Ty to wszystko przeżyłeś. Z piórem zapewne stałeś wśród biednych, sam też pewnie borykałeś się, szukałeś wyjść z ciężkich sytuacji, walczyłeś z losem. To widać z Twej powieści, z Twej — muszę dodać — nawskroś ludzkiej powieści. Nie bawiłeś się w niej w poezje. Zaledwie w kilku miejscach rzuciłeś jak od niechcenia maleńki, miniaturowy opis skrzący się poezją czy jakąś błyskotliwą myśl. Vang, pisarz, którego wprowadziłeś do swej powieści różnił się chyba od Ciebie o całe niebo. On wprawdzie pisał o nędzy, o biedakach, wygłaszał o nich odczyty, ale wcale nie wyglądał na takiego, który by przeżywał to tkane w powieściach życie ludzkie. Wydaje mi się, że Vang to inny typ pisarza, pisarza z manierami. *„W samym gabinecie Vanga można się było zadusić; siedział w błękitach dymu i pisał...*

— On wyobraża sobie, że jest w niebie; inaczej nie może pisać — żartowała żona".

Wracam do Ditty. Wszak co chwilę ciśnie się pod pióro myśl o niej, o jej życiu, co chwilę staje przed oczyma jakiś obrazek z Twej powieści, którym tak doskonale charakteryzowałeś jej osobowość. Wybornie ją przedstawiałeś w scenkach ze staruszkiem. Dałeś tu dwa rodzaje życia: pierwszy rodzaj to życie dla bliźnich — życie Ditty, która lituje się nad staruszką, czyści w nocy jej domek, nie chwaląc się tym i nawet swym braciszkom nie pozwalając się zdradzać. A drugie to życie staruszków, ludzi spokojnych, ale egoistów. Staruszka mówi do Ditty słowa, które przecież są potępieniem — nie boję się użyć tego słowa — ich życia. *„Nasze życie, powiem otwarcie, nie przyniosło nikomu specjalnej korzyści; niczego szczególnego na ziemi myśmy nie dokonali. I, jeżeli ludzie stworzeni są na to, by pracować w pocie czoła i podbijać świat — to my staniemy przed naszym sędzią z pustymi rękami. Niczegośmy nie pomnożyli. Przeciwnie zużywaliśmy to, co inni zapracowali i zostawili nam łaskawie".* Nie pochwalam takiego życia, które nic bliźnim nie dało. Jakżeż inne było życie Ditty.

Ta mała dziewczynka duńska kochała wszystkich, nawet tych co jej wyrządzali krzywdę. Wcale nie darzyła nienawiścią swej matki, która była przecież dla niej tak niemacierzyńska i tyle jej bólu sprawiła. Ditta jednak ją kochała. Oto doskonała scena powitania matki po jej wyjściu z więzienia: *„Stały tak, jedna na wprost drugiej, nie wiedząc, co powiedzieć, co robić. Serce małej roztajało od razu, gotowa była zapłakać, rzucić się matce na szyję, gdyby ta zrobiła choć krok w jej stronę. Ale Sörina nie ruszyła się".*

Kochała też Larsa Piotra, który nie zawsze był dla niej dobry, zwłaszcza wtedy gdy przeniósł się do Kopenhagi, zaczęło mu się lepiej powodzić i o Ditcie zapomniał. Z początku darzyłem go sympatią. Ale od chwili, gdy Lars Piotr o Ditcie zapomina, sympatię do niego już na zawsze straciłem. Nie zaprasza jej nawet na ucztę urządzoną z okazji konfirmacji Pawełka, którego ona tak bardzo kochała. Ditta koło muru, w cieniu, który ją zakrywał, patrzyła w okna mieszkania Larsa Piotra, widziała rozbawione towarzystwo i *„łzy ją dławiły".* Warunki nieraz zmieniają ludzi. Nie jeden gdy tylko poprawi się jego los już ma innych za nic i o ludziach niegdyś bliskich jego sercu jakżeż szybko zapomina. Taki był i Lars Piotr, postać tak wydawało by się szlachetna sądząc po początkowych kartach powieści.

Doskonale charakteryzujesz środowiska. Bardzo ciekawym spostrzeżeniem było dla mnie porównanie dwóch rodzin: rodziny ze Wzgórza i rodziny ze Sroczego Gniazda. W pierwszej zakrzepł *„duch rodziny przechodząc z pokolenia na pokolenie. Nigdy tam nie dokonywano radykalnego burzenia i oczyszczania, nigdy nic nie odnawiano... To samo powietrze, te same miazmaty, ta sama atmosfera przesycona zarodkami choroby panowała w tym domu, stając się tylko ostrzejsza w miarę postępu gnicia i rozkładu... Ludzie mieszkali tu i pracowali na produktach rozkładu poprzednich pokoleń, czerpiąc z nich swe pożywienie i śmierć.. Życie kwitło na cmentarzu, na gruncie użyźnionym pracą niewolniczą, potem i zbrodniami".* O ileż sympatyczniejsza jest dla mnie rodzina Hycla: *„dla członków rodziny Hycla wszystko leżało w przyszłości. I to nadawało ich życiu, pomimo wielu przeszkód, specjalną świeżość — oddychali czymś nowym — jeszcze nietkniętą wonią życia.*

Rodzina Hycla nie miała po kim spodziewać się spadku, toteż raźno zrywała więzy z przeszłością. Członkowie jej posiedli dobre przyzwyczajenie kładzenia krzyża nad tym, co było za nimi, a patrzenia tylko w przód. Głupio było, zdaniem Larsa Piotra, grzebać się w starym, rozpamiętywać dawne choroby, dawne troski. Jesteś bezlitosnym krytykiem, panie Marcinie. Krytykujesz przesądy, zaśniedziałość, ubóstwo duchowe. Krytykujesz to wszystko co jest złe dla człowieka, co mu utrudnia życie. Krytykujesz nędzę, która jest przyczyną zła.

„— Chciałabym wiedzieć, czy nie całe zło na ziemi pochodzi z nędzy? — spytała raz Karola.

— W każdym razie większa część — odparł stanowczo. — Gdyby udało się nam usunąć nędzę i niedolę, świat wyglądałby zupełnie inaczej".

Karol stwierdza, że *„warunki zmuszają nas do złych czynów".* Tak, to prawda. Zbrodnie i kradzieże, rabunki, napady to przeważnie wynik nędzy, opłakanych warunków życiowych.

Już pisałem na początku tego listu, że dzieli nas różnica poglądów. Ty, panie Marcinie, nie wierzysz w Boga. Dałeś tego dowody na kartach „Ditty". Piszesz, że *„życie biedaka nie dawało oczywistych dowodów Jego istnienia".* Mały Piotruś mówi: *„zupełnie nie wierzę w Pana Boga".* To na pewno i Twoje wyznanie. To nas dzieli. Ale nie piszę tego dlatego, by Cię przekonywać. Chcę tylko podkreślić, że chociaż nie podzielam Twych poglądów ideowych, podpisuję się pod Twym poglądem na życie ludzkie. Podpisuję się — tak jak podpisze się każdy, obojętne czy marksista czy katolik — pod Twymi uwagami o życiu ludzkim, pod Twymi myślami o człowieku. Boć wszyscy go jednako kochamy. Kochamy go my, którzy wierzymy, że jest tworem Boga, kochacie go Wy, którzy twierdzicie, że jest tworem natury. Kochamy go i nie chcemy by ginął od bomb i kul...

Kochany Panie Marcinie! Pozwolisz chyba, że tak się odezwę do Ciebie. Napisałeś piękną książkę. Napisałeś książkę o życiu ludzkim, podzieliłeś się swymi doświadczeniami, wskazałeś drogi, którymi trzeba iść, by to ziemskie życie uczynić lepszym. Usunąć nędzę, a zniknie zło, usunąć nienawiść, a pozostanie miłość. I serce z piersi wydostać. I iść z nim w świat.

Józef Dużyk

KOMUNIKAT REDAKCYJNY

Autor pracy podpisanej pseudonimem „Pikt" proszony jest o skontaktowanie się z sekretarzem redakcji.

Andrzej PIETROWSKI

WIERSZE

NOC

Cień kwiatów okienka przymknie,
ześlizgnie się kolumną lodyg —
zstąpi pani tysiąca imion
czekoladowa słodycz.

Tarasami błękitów i liści
spłynie pogodna i ciemna.
Niegodny bliskiego przyjścia
czekam cudownych przemian.

THANATOS

Dogonisz mnie smutny efebie
w pachnące gorące lato
słyszę twój bieg, czuję ciebie
i czekam na ciebie i na to

wiesz, czekam, chociaż w ucieczce
chcę schwycić stracone dzieje...
utną lok twoje jasne ręce
w Ojczyźnie Dobrej Nadziei.

ŁASKA

Węzła nocy dzień nie rozsupła
— jutrznia linią różową go przetnie,
spłynie niebem promienny upław
na twarze i drzewa stuletnie.

Sennym liściom odbierze niemoc,
a wargom i oczom — nienawiść
i łuk dłoni wykreśli nad ziemią
most pojednań i błogosławieństw. (1943)

CEL

Konradowi Helowi

Gdy księżyc wpływa w dachów odmęt
jak barka, która ma zatonąć,
na pochylonej burcie siądę
za kolorowych wód zasłoną.

Niebo opadnie krzyżem w kanał
— kotwica (łańcuch jej gwiaździsty).
Wstanie falami zapłakana
przede mną jasna cicha przystań.

* * *

Gdy pamięci nietknięte strony
napełniają się gwarem i zgiełkiem
i nad księgą jak druid schylony
czas wymawia zaklęcia wielkie

kiedy oczy nigdzie nie patrzą
i myśli nie wierzą sobie samym
wówczas wiem, że On głośno płacze
i że usta, modląc się, kłamią.

MATKA

Ciszej — nie spłoszę światła, które śpi w twych włosach
pozwolę myślom twoim śnić świat jasny, piękny
tylko niżej pochylę głowę i uklęknę
i zacznę opowiadać baśń — o wróżce bosej.

USPOKOJENIE

Ciągną lasy szczytami w ciszę
upalnie i słonecznie
i woń spływa soplami szyszek,
by rozlewać się, pęcznieć

i ziemia uśmiechem zbóż kwitnie
wonna jak chleba pajda.
Spokój ust powierzam modlitwie,
tej, którą dziś odnajdę.

Henry DUMÉRY

tłum. Edmund MISIOŁEK

O postawach wierzącego

„... Nie można nigdy dość silnie opierać się Bogu, jeśli tylko czyni się to w czystej trosce o prawdę. Chrystus lubi, by przekładano nadeń prawdę, gdyż zanim jest Chrystusem, jest prawdą. Jeśli odwrócić się od Niego, aby iść ku prawdzie, nie ujdzie się daleko, aby nie wpaść w Jego ramiona". W słowach tych wyraża Simone Weil zbawienny paradoks. Jego sformułowanie może w pierwszej chwili zaskoczyć kogoś, kto urodził się w wierze i nie potrzebował walczyć, aby ją zdobyć. Lecz zastanowiwszy się, rychło przyzna, że poszukiwanie Boga może przechodzić przez fazy oczyszczającej negacji. Odpycha się Absolut tylko w imię absolutu lepszego. A często wyrzeka się człowiek tego, czy owego wyobrażenia Boga, z podświadomą oczywistością przyjmując, że Bóg jest ponad wszelkim wyobrażeniem. I dlatego odnajdywanie Boga polegać będzie zawsze na tym, aby szukać Go nieznużenie, wciąż na nowo przechodząc ponad tym, co już się znalazło. Bywa, że czci Boga ktoś, kto ubóstwia siebie. A odrzuca Go ktoś inny, kto niestrudzenie ku niemu dąży. Zawsze jest się ateuszem w stosunku do kogoś — pisaliśmy niedawno. Dodajmy dziś: byłoby to smutne, gdyby świadek Boga zaświadczał naprawdę tylko własną — leniwą czy płochą — skłonność, aby umieszczać Boga gdzie indziej, aniżeli w Bogu.

Nie jest jednak naszym zamiarem podejmować na nowo dyskusji o teizmie i ateizmie. Chcemy zachęcić wierzącego do porzucenia wygody; nie, aby budzić w nim skrupuły (robią to inni od dawna), lecz aby uświadomić mu, że wiara jest nie tyle odpowiedzią, ile raczej pytaniem. A jeśli wierzyć znaczy odpędzać pokusę snu? Jeśli znaczy to odrzucać wszelkie oparcie, wszelkie podstawy zbyt stałe, sprawdziany bezduszne? Jeśli jednym słowem wiara to nagle przebudzenie nieznanej dotąd aktywności, przyjęcie łaski, której na imię wyzwalająca wolność? Czy wierzący objawi wówczas zdziwienie, radość czy rozczarowanie?

Nowa apologetyka? — pomyśli ktoś. Nie! Nasza epoka pogrzebała apologetykę, tę dyscyplinę szkolarską i zbyt upartą, która posuwa do ostateczności swe dedukcje, lecz zawsze pozostaje we własnych granicach, nie sprawdzając ani swych przesłanek, ani swej metody. Albo, jeżeli już mówić o apologetyce, to o apologetyce samoistności duchowej; jedynie ta jest ważna. Wszelka inna apologetyka: przyrodzonego rozumu, patriotyzmu wyznaniowego — jest apologią własnego „ja", małostkową, tendencyjną, a w dodatku nieskuteczną.

Zresztą nie zamierzamy dawać wykładu wiary chrześcijańskiej ani przymierzać jej do współczesnych upodobań. Takie dostosowania to publicystyczne smakoszostwo. Są ludzie, którzy mają talent po temu i sumiennie wykonują swą robotę. Bardziej jednak warto, jak sądzę, odsłonić postawy, jakimi się żyje i te poddać krytyce, na ich własnej płaszczyźnie [1]). Ta lekcja nie obejmie tematyki zbyt rozległej, może za to zyska na skuteczności.

*

CZY człowiek wierzący wyznaje prawdę i wyznaje wolność? Pytanie rzadko stawiane, gdyż rozwiązanie wyprzedza je i przesłania. Skoro jednak wyłuszczyć je na zimno, dostrzeże się jasno, dlaczego się je wymija. Drażni ono, ponieważ zakłóca spokój. Drażni, ponieważ sprzeciwia się naszemu lenistwu. W istocie rzeczy, można wierzyć w prawdę czy w wolność idąc po linii najmniejszego oporu, lub też stosując rygory najsurowsze. I nie jest z góry pewne, czy wierzący nie zajmuje postawy pierwszego rodzaju, zamiast drugiego. Jego wymówką, jego alibi jest to, że prawda, do której przyłącza się, ubiega go i wyprzedza. Bóg wcielił się dla niego. Kościół dyktuje mu Wyznanie Wiary; on przyjmuje, potwierdza, lecz przychodzi do niego poza swą własną prawdą. Oczywiście mógł na samym wstępie zadawać pytania, dyskutować, opierać się; lecz raz przyjąwszy Credo, zespolił się z gotową już wiarą; chwycił się jej i za nią kroczy. Nie ma on oparcia w nim samym. To on pogrąża się w niej, zaprzedaje jej.

Streszczam tu potoczny zarzut. Lecz pragnęło by się uporać z nim zbyt szybko. Jako zarzut polemiczny podlega on jednak prawom wojny. Jako przedmiot zaś rachunku sumienia staje się wprost groźny. Tak czy owak, nasuwa w każdym razie pytanie: czy prawda mej wiary może być uprzednia i zewnętrzna w stosunku do mego własnego zaangażowania? Czy pragnąc wierzyć, zwalniam się od myślenia i działania na własną rękę? Jeśli tak jest, wierzyć to abdykować; ocalenie tkwi wówczas w buncie.

Odgaduję, co obrońca odpowiedziałby na moim miejscu. Lecz nie jestem na jego miejscu. Staram się sam być równie wobec siebie wymagający i czujny jak dyskutant. Wydaje mi się więc, że wiara jest tym, czym się ją uczyni, i że nie otrzymuje się jej jak rzeczy. Lecz już widzę, jak podnosi się przeciwko mnie powszechny przesąd. Zewsząd słyszę, jak wierzący mówią o ustanowionej prawdzie, o prawdzie jako takiej, o prawdzie bez związku z podmiotem. Kiedy mówią to mimochodem, ulegając bezwładności języka, można to zrozumieć. Lecz niepokoi, że i do głębszej postawy tego i owego mogłoby przeniknąć to naiwne przekonanie, ten obiektywizm porażający wszelką żywą myśl. W każdym razie, gdyby wiara wymagała takiego bałwochwalstwa wobec prawdy-rzeczy, gdyby trzeba było — na to, aby rzeczywiście ją posiąść — pisać się na tego rodzaju myślowy proceder, nie widzę, w jaki sposób boża transcendencja mogłaby kiedykolwiek wyprzeć antropomorfizm, tj. właśnie kształtowanie Boga na podobieństwo rzeczy widzialnych. Religia ma za cel wiązać nas z Bogiem; nie jest jej zadaniem utwierdzać nas w naszych złudzeniach.

Jak dotychczas, wprowadza się wiernych jedynie w dogmaty i moralność praktyki zbiorowej; prostaczkowie roszczą sobie prawo do tej samej prawdy co uczeni. Jest w tym paradoks: bo jakże to możliwe, aby to samo zbawienie obiecywali sobie ludzie, którzy nie mają tego samego pojęcia zbawienia? Czyż mamy wierzyć, że religia strachu, religia potęgi czy wreszcie religia prawnych wybiegów mogą poprowadzić równie daleko jak religia miłości? A przecież jest widoczne, bez osądzania z góry intencji (która może przekreślić pozory), że chrystianizm przeżywany bywa — zależnie od jednostki — w kategoriach lęku, służalczości, małostkowego moralizmu albo też — prawdziwej miłości. Lecz w takim razie czy jest to ta sama wiara? Czy każdy nie ma wiary, na jaką zasługuje? Tchórz zbawia swój żołądek, bohater — serce, mózgowiec — głowę. A kto odważy się zbawić wszystko, lecz według pewnego porządku wartości? A przede wszystkim kto uczyni ślub, że pracując nad zbawieniem duszy zbawi również — nie gwałcąc go — swój rozum?

TAK postawiony problem gotów wprowadzić niebezpieczne rozdwojenie: mielibyśmy z jednej strony pojętnych, z drugiej — nieuków. Podział szkodliwy i zresztą daremny. Istnieją bowiem dwa rodzaje pojętnych: prawdziwi i fałszywi uczeni. Prawdziwymi są mianowicie ci, którzy przewędrowawszy rozmaite dziedziny nauki, sztuki czy myśli spekulatywnej zachowali lub osiągnęli tę samą prostotę, którą dzielą z wszystkimi duszami prawymi, choćby i mało oświeconymi. Bowiem nie kultura świecka przesądza o autentyczności postaw religijnych. Lecz nie można uniknąć tego, że sądzić je przychodzi według poziomów prawdy i rzeczywistości, które samorzutnie osiągają, od samolubnego strachu aż do zdolności miłosnego poświęcenia.

Zestawiwszy ją z tym sprawdzianem, można więc oceniać wiarę poszczególnej osoby. Ten, kto powierza się Bogu i Kościołowi z tego tylko powodu, że zbyt trudno jest walczyć samemu i zbyt uciążliwie dźwigać w pojedynkę własne problemy (a tak wygodnie przecież pozostawić innym troskę o ich rozwiązanie), ten ma może niejedną cnotę, lecz brak mu na pewno męstwa. Ten zaś, kto nagina swój sąd do czyjegoś obcego, aby obejść trudność, aby sumarycznie i raz na zawsze złożyć z siebie odpowiedzialność, aby myśleć odtąd z powołaniem się na cudzy autorytet lub na rozkaz, ten nie jest uległy, lecz podły.

Te dwa przypadki nie mają przecież w sobie nic nierzeczywistego. Istnieje pewien sposób wzywania Boga, który w zarodku unicestwia pytanie, a zarazem uśmierca rozum. Istnieje też taki sposób chronienia się pod opiekę Kościoła, który tłumi inteligencję i uniemożliwia jej jakikolwiek postęp. Ostrzeżenia niewierzącego są wówczas po prostu zbawcze.

Kościół, który chciałby dawać nam encyklopedyczne naświetlenie wszystkich spraw, nie pozostawiłby nic dla naszej wynalazczości, nic poza błędem, który jest właśnie zdradą prawdy. Szaleńcze założenie, a przecież je się słyszy. Niektórzy wierzący sądzą, że są na dobrej drodze, lecz marzą o jakimś religijnym autorytecie, który każdego ranka wydzielałby dogmat i pewność. Wierzyć w prawdę, to nie znaczy umieścić ją gdzieś, bezwładną i zakrzepłą, choćby nawet w Absolucie czy w dyplomach jego mandatariuszy. Wreszcie tym bardziej nie znaczy to wyobrażać sobie, że raz osiągnięta trwa stale, że zapewniona jest i na jutro, jeśli dziś dotknęło się jej w jakimś jej punkcie. Nie, wierzyć w prawdę to pełnić ją, przychodzić do światła, nie lękając się ryzyka, w niepewności, szukając choćby po omacku. Ludzkość niczego nigdy nie odkryła, nie wypracowując tego w trudzie. Niczego nigdy nie znalazła, aby nie było to narażone na zgubę. W wysiłku znalezienia i utrzymania tkwi dla człowieka sens i wartość prawdy. Poza tym twardym trudem jest już tylko zamiłowanie odpoczynku, wygody i bezpieczeństwa. Religia jednostkowego konformizmu, zbiorowej etykiety, niebieskiego zabezpieczenia.

Lecz jak pełnić prawdę swej wiary, jeśli uprzedza nas ona jako dar? Aby zarysować krótką odpowiedź, z konieczności kepełną, trzeba nam wyrzec się wielu odcieni. W zamian uzyska się może zwięzłość. Powiedzmy więc sobie, że nastręcza się tu jeden tylko środek: należy wierzyć nie na podstawie Pisma, będącego literą, ani na podstawie Tradycji, będącej społecznym ciałem, ani — historii, która jest rekonstrukcją, ani tym mniej na podstawie wyrozumowania i wyczucia, które są pochodnymi projekcjami duchowej osobowości. Należy wierzyć dla samego

(Dokończenie na str. 10)

1) Zajmując tę pozycję krytyki, nie chcę urażać nikogo z czytelników. Dam opis określonych tendencji; będę w miarę możności omijał osoby. Zresztą daję mój punkt widzenia, nic więcej, i w zupełności przyznaję innym prawo posiadania własnego. Co się tyczy pokus, którym wypowiadam walkę, pragnę stwierdzić wyraźnie, że sam im podlegałem — dodatkowy powód, aby zwalczać je z całą siłą.

Jerzy KRZYSZTOŃ

BIAŁO

DOKOŃCZENIE Z POPRZEDNIEGO NUMERU

III

ARVIND powiedział, że idzie się trochę „przewietrzyć" na miasto, i Białogęby, po robocie, siedział wygrzewając się u progu, przed domem. Shima z trzema córkami prasowała bieliznę, dwie najmłodsze bawiły się w piasku na ulicy. Słońce wyraźnie ciążyło w dół, lekko przymglone. Ulicą mało kto przechodził, gdyż prawie wszyscy byli jeszcze przy pracy na Mahalakshmi ghat. Białogęby dziś nie ładował pieca i mógł siedzieć bezczynnie, żując betel w błogim zadowoleniu i spluwając suto przez zęby. Myśli plątały mu się niewyraźnie po głowie i byłby się zdrzemnął, gdyby nie dzwonek rowerowy, który zabrzęczał nad samym uchem.

— List jest dla was, kumie. Lotniczy. Samolotem go przywieźli.

Poczciarz wyjął z torby kopertę, oklejoną rojem różnobarwnych znaczków.

— To od mojego chłopca. Dziękuję. Napilibyście się mleka?

— A no, dajcie. Kręcę już pedałami od świtu.

— Shima — zawołał. — Shima. Jest list, nasz wojak pisze. Daj tu mleko, kum się zmęczył na tym rowerze.

Wyszła uśmiechnięta, niosąc dzbanek i kubeczki.

— Dzień dobry, matko. Kopę lat-śmy się nie widzieli, będzie z miesiac jak przywiozłem wam paczkę. Cóż u was słychać? Mleko się nie zmieniło. Smakuje jak zawsze. Delicje.

— Jeszcze kubeczek?

— Ciężko mi odmówić, choć was opiję jak nigdy.

Sanni wychyliła główkę zza drzwi.

— Pan listonosz zawsze to samo powtarza.

Białogęby pogroził jej palcem. Shima się uśmiechnęła. Dziewczynki opuściły piasek i dłubały coś teraz w szprychach roweru. Ich jęzorki wędrowały w podnieceniu po brodzie.

— A właśnie, że powiem coś nowego, ty złośliwa kotko — odciął się listonosz. — Dziś jest wesele mojego chłopaka.

Sanni aż kucnęła z wrażenia. Nigdy nie była na weselu. To musiało być wspaniałe, wpaniałe. Kiedyś tylko widziała orszak ślubny na ulicy. Pan młody jechał na koniu, śliczniuśko ubrany, twarz miał zasłoniętą wieńcem z białych kwiatów, a pannę młodą nieśli zgrabni chłopcy w cudownym koszyku na czterech złotych drążkach... Ojciec mówił, że to muzułmanie, czy jak...

— Chciałabyś pośpiewać na weselu, co?

Sanni zaprzeczyła ruchem głowy.

— Wcale a wcale...

— No, jak uważasz. Na bagażniku mam wolne miejsce. Ale trudno, twoja wola. No, no, maleńka, wyjm rączkę ze sprych, a ty nie liż opony, toć cała w kurzu. Bądźcie zdrowi. Jak wasz syn wróci, będzie też weselisko, no nie?

Wsiadł na rower. Pojechał. Sanni patrzyła za nim długo, aż znikł u zakrętu, pobrzękując dzwonkiem.

— Mamo, ty wciąż stoisz i stoisz, a tyle razy ci mówiłam, że gorące żelazko zostało na koszuli i nie mogę go unieść!

— Ach, ty...

Shima pędem znikła w drzwiach. Białogęby krzyknął:

— Sanni, poczekaj, już ja ci sprawię lanie!

Ale dziewczyny już nie było. Malutkie zabuczały zgodnie i bardzo żałośnie. Zaczął je uspokajać, tuląc, pieszcząc, całując ich główki pełne piasku.

— No, cicho już, cicho. Kupię wam konia, dużego konia. Będzie jeździł... Ta ta tach... Ta ta tach... I tupał nogami. Ta ta tach... ta ta tach... A teraz idźcie na podwórze do mamy.

Dał im klapsa w błyszczące tyłeczki. Wygramoliły się niezgrabnie, raczkując, przez próg. Białogęby wyjął kopertę i obejrzał ją pod światło. Arvind już niedługo wróci, to przeczyta, co tam synek wypisał. Ciekawe, co oni wtedy od niego chcieli, ta policja? Chłopak jest dobry, pracowity, no i kształcony...

— Widzę, żeście list dostali.

Białogęby poznał nauczyciela po głosie, chciał schować kopertę. Psiakrew! Spostrzegł się za późno.

— A tak. Dostałem — mruknął.

— Mogę wam przeczytać.

Z nauczycielem zadrzeć było niebezpiecznie. Po pierwsze: Sanni idzie w tym roku do szkoły, po drugie: nauczyciel zna dobrze nadzorcę, sługusa Gopala, po trzecie: nauczyciel mógł się przydać jeszcze nieraz, a po czwarte: ...kto jest głupi, musi płacić!

Westchnął.

— A no, poproszę łaskawie...

— Chodźmy do mnie. Zostawiłem w domu okulary.

Pokój nauczyciela był ciemny, lecz wcale schludny. Białogęby tu nieraz bywał, prawie co miesiąc, jak przychodziły listy od syna. Stwierdził, że nic się w urządzeniu nie zmieniło, na ścianie wisał ten sam obraz, przedstawiający ranionego tygrysa, w kącie kulała ta sama szafka z książkami, na podłodze leżały te same maty, tylko już trochę starsze, a na maleńkim dywaniku — przybory do pisania, wśród nich ten sam żółty ołówek, który tak lubił obracać w dłoni. Wziął go i teraz w palce.

Nauczyciel przecierał długo okulary, nim wsadził je na duży, kościsty nos. Drewnianym nożykiem pomału rozciął kopertę. Czytał, pomrukując. Potem złożył karteczkę we czworo i patrzył w sufit, kiwając się. Białogęby wziął ołówek w obie ręce, kręcił. Nauczyciel chrząknął raz i drugi. Wsunął białą kartkę do koperty.

— Poległ na polu chwały.

Białogęby nachylił się.

— Przepraszam, nie dosłyszałem:

— Poległ na polu chwały.

— Wybaczcie, panie, ale... nie rozumiem.

— Nie rozumiecie? Przecież jasne — zginął.

Białogęby uśmiechał się.

— Jakto...

I nagle ołówek trzasnął w palcach. Kawałki drzewa świsnęły przez powietrze. Jeden uderzył tępo w szafkę z książkami.

— Przepraszam, panie bardzo przepraszam. Ja za ołówek zapłacę... gdzie te pieniądze. O proszę. Taki ładny ołówek, żółciusieńki... Przepraszam...

— Dajcież spokój, Białogęby, weźcie te pieniądze. Za taki list... Wolałbym nie umieć czytać.

Objął go ramieniem. Wyprowadził na ulicę. Białogęby poszedł schylony. Potknął się. Plecy miał bułczaste, wypukłe. Nauczyciel śledził go wzrokiem, uśmiechając się smutnie. Raptem, przypomniawszy coś sobie, zawołał:

— Wasz syn dostał D.S.O., pamiętajcie: D.S.O.!

***

ARVIND wrócił koło ósmej, zakrzątnął się po mieszkaniu, pomógł Shimie znieść bieliznę do domu, nakrył małe kocem i cały czas zerkał, czemu to Białogęby taki markotny. Pracz siedział w kącie, drapał się i wzdychał. Arvind szturchnął go w bok.

— Chciałem wam powiedzieć, że dziś na noc nie wrócę. Mam zebranie na mieście. Wpadłem tu na chwilę, żebyście się nie martwili.

Białogęby milczał.

— No, to pójdę już. Rano będę na Mahalakshmi. Dobranoc. Śpij dobrze, Sanni. Dobranoc, matko Shima, dziękuję za mleko i placek, wyborne.

— Bądź zdrów, synu. Uważaj tam na siebie. Masz tu mango na drogę.

Wsunąwszy owoc do kieszeni, przekroczył próg. Nurknął w mrok. Białogęby wstał.

—Arvind, poczekaj, przejdę się z tobą kawałek...

— A no, chodźcie. Cudna noc.

Poszli milcząc. Arvind zwolnił kroku, przypomniało mu się, że Białogęby nie umie szybko chodzić. Świetliki kołysały się sennie wśród nocy, dziwnie samotne, zagubione. Szelest sandałów w piasku był prawie nieuchwytny. Duży nietoperz musnął ich skrzydłem, zapiszczał i przepadł w ciemności. Robaczek usiadł Arvindowi na kołnierzu, mrugał światełkiem, zdawało się, że pomrukuje przy tym cicho, jak kot.

— Coś ci powiem — szepnął Białogęby — mojego syna zabili na wojnie.

Arvind drgnął gwałtownie, przerażony świetlik przycupnął, a potem skoczył w ciemność.

— Jeden, co się uchował. Myślałem, że wróci, będziemy znów razem pracować. Stary już jestem, najgorsze, że jakby coś... Shima zostałaby z pięciorgiem dzieci. Miałem jeszcze trzech chłopaków, raz biegunka, raz tyfus, sporo dzieciaków wtedy pomarło, a ten najżywszy, no jak ogień, pod samochód wpadł, na moich oczach. Same dziewczyny się zostały, widocznie silniejsze. Myślę, że Shima już nie będzie więcej rodzić...

Światła pierwszych latarni wyszły im naprzeciw, a potem rozjarzyło się szeroką łuną miasto.

— Shima nic nie wie. Skłamałem jej.

Arvind szedł z pochyloną głową. Nie wolno mu było brać żadnych zobowiązań, nie należał do siebie, komunista nie ma rodziny, może tam gdzieś w Związku Sowieckim, w Europie, tu nie było warunków... Tu nikt nie był pewny ani dnia, ani nocy. Raz wpadłeś i po wszystkim. Chyba, że się jest zasłużonym działaczem, ma się znane nazwisko... Jeszcze wtedy są jakieś szanse... Ale na to trzeba tyle lat, tyle lat ciężkiej roboty. A tak... Chciał coś powiedzieć temu człowiekowi, którego syn zginął, sam nie wiedząc o tym, za sprawę wszystkich ludzi, razem z tymi co legli gdzieś na polach Ukrainy, Polski, Francji... Chciał jakoś pocieszyć, podtrzymać. Nie było słów, przecież dla Białogęby rachunek był prosty — jego syn zapłacił krwią za chleb. Tu nic nie było do powiedzenia, milczał.

— Wrócę — powiedział pracz. — Tobie na pewno się spieszy. Bądź zdrów, tylko uważaj tam. Będę na ciebie czekał rano.

Arvind chwycił go za rękę, pocałował. I poszedł szybko przed siebie, nie oglądając się. Niechcący wyrżnął nogą o krzywą płytę chodnika, aż mu palce trzasnęły w stawach. Zaklął ciężko, słowem usłyszanym na Mahalakshmi ghat. I wtedy jakaś myśl szarpnęła nim tak silnie, że zawrócił i pobiegł. Pracz nie odszedł jeszcze daleko. Chwyciwszy go za ramię wysapał:

— Ojcze, ojcze Białogęby, gdyby coś... ja się zaopiekuję waszą rodziną.

— Ty? Ty sam potrzebujesz opieki. Policja cię ściga...

— Nie bójcie się, mną się już opiekują.

— Kto?

— No, wy i Partia.

Pracz przystanął, przetarł ręką zmęczone oczy.

— Co to jest — Partia?

— No, jakby wam wytłumaczyć... Partia to... Weźcie przykład, jesteście chorzy, albo nie macie pieniędzy, no i zawsze wam dadzą, pomogą jakoś...

Białogęby zastanawiał się nad czymś. Obciągnął rękami koszulę, przygładził włosy.

—A ja mógłbym do tej partii należeć?

— Jeślibyście chcieli, tylko że do tego trzeba...

— Rozumiem. Mieć dobre nogi, żeby uciekać przed policją.

Arvind nagle stracił cierpliwość.

— Rozumiecie, ale nie wszystko. Nie wszystko. Wiecie dlaczego mnie chcieli przymknąć? Bo nosiłem książki, w których pisze, że bogaczom trzeba zabrać fabryki, bo są dla wszystkich, że chłopom trzeba oddać ziemię, że Gopalowi nie wolno brać dwadzieścia siedem od stu, że nic mu nie wolno brać, bo to nie jego, że wszystkie stanowiska na Mahalakshmi należą do tych, co tam piorą, że Anglików trzeba wygnać po

to, żeby Sanni nie bawiła się zdechłym kotem, żeby wasz syn...

Białogęby zasłonił się rękami. Arvind ledwie dyszał.

— Przepraszam was. To nerwy, cholerne nerwy.

— Nic, nic — mruknął tamten. — Widzisz, ja nigdy nie byłem w żadnej szkole. Ciemny jestem. Ale pracę swoją znam, dobrze znam, i ubliżać mi... nie wolno.

— Nie zrozumieliście mnie. Przecież nie wasza wina, że to wszystko tak jest. Chciałem wam powiedzieć, że gdybyście mnie pomogli, wy i tam ci z Mahalakshmi, — nie byłoby Gopala, każdy by robił na swoim.

— Dziwny z ciebie chłopak. U nas mówią, że morza nie wyczerpiesz łyżką, tak jak koszuli nie upierzesz w kropelce wody.

— Dobrze, pokażę wam jak te kropelki wyglądają, ile ich jest... Chodźcie! Pójdziemy razem na zebranie. Zobaczycie sami. Chodźcie.

*

SALA była niska, tłoczna, zadymiona i duszna. Właściwie był to jakiś stary magazyn, głęboko wpuszczony w ziemię, z oknami zabitymi czarną papą i trzema żarówkami u sufitu, pokrytymi kurzem. Mdłe światło wisiało w ciężkim powietrzu, nie docierając do ciemnych kątów i nisz. Ludzie stali gęsto, ściśnięci, spoceni. W półmroku niesposób było rozróżnić twarzy najbliższych sąsiadów. Białogęby sapał, zaciskając palcami nos, gdyż z tyłu ktoś oddychał mu w kark czosnkiem. Arvind przepchnął się naprzód, chcąc z kimś tam się spotkać. Na końcu sali pod wilgotną ścianą był stolik, okryty czerwonym płótnem, na nim lampka i gliniany dzbanek. Od betonowej podłogi wiało zimnem i Białogęby, choć przyzwyczajony do stania godzinami w wodzie, teraz przestępował z nogi na nogę. Ludzi było, ani chybi, ze dwie — trzy setki i podobno, jak mówi Arvind, to zaledwie mała cząstka Partii, taka kropelka. Bo tej partii jest sporo w całych Indiach. Tylko, że wszyscy tak kryją się pod ziemią i mało kogo widać.

— Towarzysze.

Jakiś człowiek w czapce zsuniętej na oczy, stał opierając się rękami o stolik.

— Otwieram pierwsze nadzwyczajne zebranie dwunastej komórki partyjnej. Proszę wszystkich o niepalenie tytoniu, bo mówcy słowa nie będą mogli wykrztusić w takim smrodzie. Drzwi nie możemy otworzyć ze względu na światło. Jeszcze raz proszę o zgaszenie fajek i papierosów. Dziękuję. Jako pierwszy, głos ma towarzysz Arnold.

Za stolikiem ukazał się teraz niski, starszy już mężczyzna, o szerokiej twarzy. Miał europejski strój, granatowy w cienkie paski, pod szyją — krawat żółty i długi. Chrząknął, wyjmując jakąś karteczkę z kieszeni.

— Towarzysze. To, co powiem nie będzie dla was ani specjalnie nowe, ani odkrywcze.

Białogęby nadstawił uszu. Wspiął się na palcach.

— Chodzi mi po prostu o przypomnienie pewnych rzeczy, dobrze wam znanych, a jednak wymagają

GĘBY

cych powtórzenia. Jesteśmy partią nielegalną, zakonspirowaną. Stosunek czynników rządzących do nas, jest wam aż za dobrze znany, nastawienie politycznych zrzeszeń krajowych, delikatnie mówiąc... chłodne. Powtarzam: chłodne.

Białogęby syknąwszy, podskoczył. Ktoś przytknął mu papierosa do nogi.

— Zgaśćież, kumie, zgaśćież tego okurka — szepnął.

— Jaki ja tam dla was kum. Wprost z roboty tu przyszedłem, a u mnie palić nie wolno, przy benzynie pracuję. I nie kumajcie mi tutaj, isz go.

— No, to przynajmniej nie sypcie popiołu na moje spodnie.

— Gdzie mam sypać popiół, to wy mnie, k...wa mać, uczyć nie będziecie.

Pracowi krew uderzyła do twarzy. Chwycił tamtego za kołnierz, za portki, obrócił w rękach i torując nim drogę, szedł w stronę stolika, w który mówca właśnie trzasnął pięścią. „Nadepnął mi bydlak na palce... Ciszej, psiakrew! ... otóż partia kongresowa... Gdzie się pchasz? Czyście poszaleli, towarzysze?! ... zaś polityka mahasabowców... Proszę o ciszę! ... polityka mahasabowców... Kopnął mnie... Ty plam sto-mordy, rzuć tego bęcwała, gdzie go taszczysz, toć wierzga nogami!" Ktoś zachichotał. Na szczęście, gdzieś chyba w dziesiątym rzędzie, Arvind go chwycił za rękę.

— Co robicie?

— No jakto — mruknął Białogęby — Palił papierosa na sali i jeszcze wymyśla. Zaniosę go przed stolik, niech ludzie zobaczą.

— Przecież udusicie go. Już mu oczy na wierzch wyłażą.

— A niech to, nie wiedziałem, że ma kołnierzyk zapięty.

Postawił tamtego na podłodze i podtrzymywał ramieniem. Robotnik oddychał ciężko, zwiesiwszy głowę. „Natomiast nasza Partia była zawsze..." Arvind pochylił się i zajrzał mu w twarz.

— Białogęby, a niechże was nie znam. Toć żeście największego cwaniaka oporządzili na perłowo.

Tamten podniósł głowę. Krztusząc się, szepnął:

— Wasz znajomy, towarzyszu Arvind? Krzepę ma jak wół. Darujcie, towarzyszu — powiedział do Białogęby — dziś na robocie pękł zbiornik, dwóch zabiło, stare kamraty, nie mogłem się uspokoić. Mieliście racje. Tu palić nie wolno.

— Dobra. Dobra. Już nie ma o czym gadać, kum... tego... towarzyszu.

— Bądźcież cicho — mruknął Arvind. — Słuchajcie, dobrze mówi.

Człowiek przy stoliku zdjął marynarkę, ściągnął w dół krawat. Mówił teraz ciężko, jakby walił młotem.

— Wszyscy są przeciwko nam, ale my nie idziemy przeciw wszystkim. Kongresowcy, socjaliści, mahasabowcy... Dla nich wolność jest jedna — wolność polityczna. My chcemy wolności innej, prawdziwej. My nie tylko wołamy: precz z Anglią, ale też: precz z obcym kapitałem. Lecz teraz, w tej chwili naszej walki, kto woła choćby: precz z Anglią!, jest z nami. I dlatego w tych ciężkich dniach pójdziemy z narodem, bo naród nas potrzebuje.

Zerwały się oklaski. Ktoś zawołał:

— Prawdę powiada! Niech żyje towarzysz Arnold!

Mówca podniósł obie ręce. Zachrypiał.

— Nie wznosić okrzyków. Policja węszy po całym mieście.

Białogęby szturchnął Arvinda:

— Toś mnie zaprowadził...

— Nie bójcie się, tu jest najbezpieczniej.

Mówca uniósł dzbanek, pił zachłannie wodę. Otarł usta.

— Dziś w południe Kongres uchwalił odezwę do Narodów Zjednoczonych. W imieniu ludu hinduskiego, w imieniu nas wszystkich, Kongres domaga się przyznania takich praw narodowi hinduskiemu, jakie przysługują wszystkim wolnym narodom. I dziś, dnia ósmego sierpnia 1942 roku, cały świat słyszy nasz głos, głos pokrzywdzonych, i w wołaniu tym nie ma skomlenia — jest groźba! Jutro wstanie dzień walki, zaroją się ulice naszych miast i wsi, jutro poleje się krew, krew milionów, i naszej krwi zbraknąć nie może. Krwi wszystkich tu zebranych. Nie może zabraknąć i pięści. Wyjdziemy pod czerwonymi sztandarami.

Przed Białogębym wystrzeliły w górę obnażone, twarde ręce. Pracz westchnął, oglądnął się za siebie. Potem pomału podniósł ramię tak jak wszyscy, zgięte w łokciu, z pięścią zaciśniętą w kamień.

IV

RANKIEM dziewiątego sierpnia kilku ludzi wbiegło na Mahalakshmi ghat. Rozsypali się w tłumie, a jeden z nich poszedł prosto w kierunku stanowiska numer 2059.

Białogęby z Arvindem rozwinęli akurat toboły z brudną bielizną. Była wyjątkowo zapuszczona i stary pracz pokiwał głową.

— Źle się dzieje — mruknął — jak wszyscy noszą koszule póki nie zaczną cuchnąć od potu.

Arvind odetkał spust i woda zaszeleściła, napełniając stanowisko. Od morza toczyły się chmury, kłębiaste i ciemne; spodziewano się jednego z ostatnich, monsunowych deszczów.

— Towarzyszu Arvind, towarzyszu Arvind!

Chudy robotnik w polamionej bluzie, zbliżał się, machając ręką. Uśmiechnął się do Białogęby.

— Ach, to z wami miałem wczoraj przeprawę. Jeszcze karku nie czuję.

Kucnął obok nich.

— Posłuchajcie — głos jego drżał przejęciem i zdenerwowaniem — Gandhi aresztowany dziś o świcie, przywódcy kongresowi, co do jednego, poszli do mamra. Linlithgow się wścieka za ten manifest. K...wa go mać. Wojsko pod bronią. Na mieście wszyscy rzucili pracę. W biurach, w sklepach, w fabrykach. Jest krzepa w narodzie! Nawet poczta nieczynna. Ludzie walą kupą na plac Wiktorii. Gęsto, ledwie się przepchasz! — Białogęby z Arvindem posapywali, zaciskając pięści. — Podobno Kasturbai*) będzie mówić. Wreszcie zaczyna się, zaczyna się! — krzyknął. — Potem będzie obróbka, że ho, ho, zobaczycie. A teraz, do roboty! Towarzyszu Arvind, bierzcie tę część, aż pod bramę, a wy, towarzyszu „Krzep koręki" — środek, ja pójdę na lewo. Nuże. Opowiadać wszystkim krótko, węzłowato, i prowadzić do miasta. Ot, tam w środku placu, widzicie jak się gotuje? To nasi chłopcy działają!

W niespełna godzinę na Mahalakshmi ghat został jedynie kulawy stróż przy tym tak głuchy, że nawet grzmoty do jego świadomości nie docierały. Miał tylko świetne, wprost jastrzębie oczy. Kusztykając po placu, wypatrywał tymi oczami łuny nad miastem.

Arvind i Białogęby szli na czele pięciu tysięcy bombajskich praczy. Ulice za ulicami huczały tupotem ich stóp. Szyby dzwoniły w oknach. Białogęby kroczył wyprostowany, z podniesioną głową. Koszula mu się rozsunęła, i na szerokiej piersi widać było siwy, gęsty zarost. Twarz miał rozpromienioną jak dziecko, nawet plamy na jego policzkach uśmiechały się wszystkie.

Jakaś kobiecinka z niemowlęciem na ręku, krzyknęła:

— Niech żyją bombajscy dhobi!

Białogęby wykrztusił, wzruszony:

— A widzisz, Arvind, a widzisz. Może byśmy tak po matkę Pardesi wskoczyli?

— Za daleko. Nie mamy czasu. A szkoda. Na pewno sama przyjdzie ze starym.

Z okien obdrapanej, czynszowej kamienicy sypnęły się płatki tanich kwiatów. I zatrzepotały nad ulicą podniesione kobiece głosy.

— Idziemy za wami!

To szwaczki rzucały pracę.

— Dobra nasza! — zawołał Białogęby — Dobra nasza!

Na rogu Swadeshi Street napotkali przewrócony autobus. Szofer z pomocnikiem cięli nożem opony. Chowali gumę pod bluzy.

— To wy tu kradniecie teraz?!

Od Crawford Market trzeba było torować drogę pięściami. Wymieszali się wszyscy: listonosze z kolejarzami, pracze z robotnikami portowymi, urzędnicy ze szwaczkami, studenci z marynarzami, tkacze, rzemieślnicy, kupcy, szoferzy, których było mniej, pogubili się całkiem.

Arvind uważał, żeby go tylko nie oderwano od potężnych pleców Białogęby. Deptał mu po piętach, a stary pracz chybocząc się, sunął ciężko lecz nieustępliwie naprzód. Sapał jak maszyna parowa. Koszulę miał zupełnie mokrą. Co bojaźliwsi, ustępowali mu z drogi.

— To ktoś znaczny.

— Tylko nie ubliżać — mruczał Białogęby — tylko nie ubliżać.

Gdy tłum gęstniał, Białogęby ruchem wytrawnego pływaka, wyrzucał przed siebie ramiona, rozprostowywał. Arvind ciągnął go za koszulę, żeby już dał spokój i tak się dalej nie przepchają. Pracz, biorąc to za zachętę do szybszego marszu, roztrącał teraz ludzi jak kręgle. Wreszcie sapnął tak głęboko, spod serca.

— No już, synku, jesteśmy.

Arvind wychynął zza jego pleców, podniósł głowę. Stali w pierwszym kręgu zebranych, tuż przed dywanem z nasturcji i bławatków. Marmurowa królowa Wiktoria, na takimż marmurowym postumencie, uśmiechała się drwiąco. Postument był nadgryziony przez wąskie ostre schodki. Ktoś położył im dłonie na ramionach.

— I ja tu jestem.

Wyściskali matkę Pardesi. Śmiała się, pogruchując jak flirtująca gołąbka.

— Przyjdźcie do mnie. Jutro będzie pranie.

— O, będzie, będzie — zahuczał jakiś mężczyzna potężnym basem. — Jeszcze jakie... Popatrzcie na tych ludzi. Tylko mydlin nikt nie nadąży zbierać.

— A wy... kto? — spytała matka Pardesi.

— Ja? Jestem zapaśnikiem u maharadży Kolhapuru. Przyjechaliśmy na występy. No, i są — roześmiał się.

Jakaś staruszka podeszła do schodków prowadzących na postument. Miała bieluśką szatę.

— Kasturbai — szepnął Arvind.

Gwar ucichał, a ona wchodziła wolno, odpoczywając po każdym kroku.

Białogęby nachylił się i spytał:

— Co to jest — D.S.O.?

— Jak?

— D.S.O. Chyba nie pomyliłem.

— Cóż wam znowu do głowy strzeliło? — denerwował się Arvind.

— Nic. Nic. Mój syn to dostał.

— Wasz syn? Zaraz, zaraz... Już wiem: Distinguished Service Order. Wysokie odznaczenie. Zdaje się, że za to płacą pieniądze. Sprawdzę w dzienniku ustaw.

— Będą płacić?

— Tak, tak. Bądźcież już cicho.

Kasturbai stała na postumencie pomnika cesarzowej Indii. Miała zniszczoną twarz, posiekaną zmarszczkami. Nad wysokim czołem zlepiły się od potu, rzadkie siwe włosy. W kącikach zaciśniętych ust przywarło zmęczenie. Zamglone oczy zza dużych okularów patrzyły długo, długo.

— Siostry moje, bracia, ojcowie i matki.

Na ogromnym placu było cichusieńko. Ludzie wstrzymywali oddech.

— Po raz ostatni mówię do was, tu zebranych, i pragnęłabym, żebyście moje słowa zachowali. Jestem stara i Wszechmogący powoła mnie już wkrótce do Siebie. Ale nie o tym chcę wam powiedzieć. Jak byłam małą dziewczynką nie bałam się węży, mogłam je głaskać. Węże były dobre, ja byłam mała. A później, kiedy dorosłam bałam się niektórych ludzi. Ludzie byli źli. Ja byłam duża. I wtedy zrozumiałam, że węży nie powinno się wypędzać z domu, a niektórych ludzi — trzeba. Są tacy ludzie, którzy zabrali nam nasze pola, nasze góry, nasze rzeki, naszą ziemię. Z pól wzięli kukurydzę, bawełnę, pszenicę, i powieźli do swojego kraju. Z gór wzięli owce, drzewo, kamienie, i powieźli do swojego kraju. Z rzek zabrali ryby, z ziemi węgiel, siarkę, ołów, naftę, żelazo — i powieźli wszystko do swojego kraju. Ich dzieci jedzą chleb z masłem, piją mleko, spożywają owoce. Nasze dzieci — nie mają chleba, masła, mleka i owoców. Ich dzieci bawią się w pięknych domach, chodzą do szkół, jeżdżą na wakacje. Nasze dzieci umierają w szałasach, nie znają szkół, nie wiedzą co to są wywczasy. Ich dzieci, gdy dorosną, przyjeżdżają do nas i patrzą...

Kilku policjantów na koniach przerżnęło się, walcząc pałkami, przez tłum. Oficer podniósł dłoń do daszka, zasalutował.

— Madam, you are under arrest.

Kasturbai, nie dostrzegając ich, mówiła dalej:

— ...i patrzą, jak nasze dzieci umierają. I mówią: dziwne, przecież na naszej wyspie, za morzem, dzieci chowają się zdrowo.

Dwaj policjanci zeskoczyli z siodeł, podbiegli do schodków. Pierwszy wysunął nogę...

W tłumie zawrzało. Sypnęły się ciężkie brukowce. Jakiś koń zakwiczał, zwalił się na nogi. Inne, podjudzone krzykiem i ostrogą, wierzgały, gryzły. Kasturbai patrzyła, blada, pochylona. Policjanci tłukli pałkami. Oficer coś wrzasnął, wyrwał szablę, ciął. Jakaś kobieta stuliła w dłoniach krwawiącą twarz. Ktoś ją podtrzymywał, leciała przez ręce. Pięści świszczały. Kolhapurski zapaśnik skręcił policjantowi nogę, wyrwał go z siodła, powalił. Zwarli się. Kamienie trafiając chlaszczą miękko, inne rąbią w postument. Pierwszy policjant jest już na piątym schodku. Białogęby daje nura pod brzuchem końskim. Rżnie tamtego pięścią w łeb, chwyta się palcami barierki, wspina, tarasuje drogę. Oficer coś krzyczy, aż mu wykrzywiona twarz sinieje, trzej ludzie w porwanych mundurach skaczą z siodeł, biegną ku schodkom. Białogęby staje w rozkroku, zaczerpnął powietrza. Wali zaciśniętymi pięściami, jednostajnym, spokojnym ruchem, z góry w dół, z dołu w górę. Tyle lat prało się bieliznę na Mahalakshmi. Można było nabrać wprawy.

Kasturbai poprawia okulary, opiera się plecami o marmurowy podnóżek cesarzowej Indii. Mówi:

— Osłania mnie w tej chwili swoim ciałem mój brat, bo chce, żebym dokończyła...

Na placu robi się cicho, ostatni kamień pada w kwiaty, głowy ludzi unoszą się, nasłuchując.

— ...i choć nie wiem jak ma na imię...

— Białogęby! — zawołał ktoś z tłumu.

Kasturbai po raz pierwszy i ostatni uśmiechnęła się.

— Tak, mój brat, Białogęby. Dziękuję mu. I powtórzę przed wami, moje siostry wszystkie, bracia moi, ojcowie i matki, powtórzę i pamiętajcie, że kiedyś będziecie płodzić szczęśliwe dzieci, że kiedyś będzie w waszych piersiach, niewiasty, mleka pod dostatkiem, bo będzie chleb dla wszystkich... I od was to zależy. W was jest siła. Dżai Hind!

Okrzyk, podchwycony, wybuchł na placu i grzmiał, szalejąc w ulicach czarnych od ludzi. Ptaki zerwały się z drzew, dachów...

I nikt nie wiedział, jak to się stało, że właśnie wtedy człowiek na postumencie pomnika królowej Wiktorii, zatrzepotał wyrzuconymi w górę rękami. Upadł na wznak.

Chwilka ciszy. Potem już tylko łoskot zaciśniętych pięści na grzbietach policjantów. Gdzieś błysnął nóż, jeden, drugi... Kamienie gwiżdżą, łomoczą.

Kasturbai wyciągnęła ręce. Krzyczy. Ręce trzyma wzniesione przed sobą tak długo, aż tamci cofnęli się, uspokoili. Tylko ranni jęczą. Policjanci klnąc, obciągnęli mundury. Teraz trzeszczą zamki karabinów. Lufy zwrócone na plac.

Białogęby leżał z rozrzuconymi ramionami. Jedna ręka rozczapierzona, zwisała nad wdeptanym w ziemię kwietnikiem tam, gdzie przed chwilą manifestan i tłukli policjantów. Lewa zaciśnięta w pięść. Dostał w serce. Celnie. Kasturbai schyliła się, pocałowała zimne od potu czoło. Postękując i pomagając sobie rękami, wyprostowała grzbiet. Zsunęła z nosa okulary, przetarła je. Patrzyła przez chwilę na niebo, zachmurzone i ciemne, na miasto, na ludzi. Z ich widokiem w oczach, odwróciła się, minęła leżącego, podeszła do schodków. Dwaj policjanci nadstawili usłużnie ręce. Odsunęła ich. Schodziła powoli. Potknęła się. Zgrzybiała staruszka. Zmęczona.

*) Żona Gandhiego.

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (30)

Wyprostowanymi ścieżkami

KAZIMIERZ Koźniewski to pisarz i publicysta o zdecydowanym temperamencie politycznym. Łapczywie obejmuje swoimi ambicjami reportersko-literackimi zakres wielu tematów gorących prawie od współczesności, zadyszanych niemal w szybkim biegu naszych dni, w naglącym dobijaniu się do drzwi warsztatów pisarskich. Drzwi do warsztatu pisarskiego autora „Roku ziemi obcej" stoją dla nich zawsze otworem. Przed żadnym niemal ważniejszym tematem Kazimierz Rychliwy nie zamyka się w konwencjonalnej ostrożności czy kunktatorskim lęku. Wszędobylska inteligencja i pasja publicystyczna każe mu przerzucać się z jednego zakresu zagadnień w drugi, przeskakiwać od jednej sfery działania pisarskiego do drugiej.

Powieść, pamiętnik, essay, reportaż, recenzja, kronika sprawozdawcza, artykuł polemiczny, monografia historyczna, broszura polityczna — oto szkicowa mapka dziedzin objętych granicami zasięgu pisarskiego. Okupacja, problemy emigracji, budownictwo socjalistyczne, literatura powojenna, wielkie wydarzenia wewnątrz kraju, nowe formy współzawodnictwa, nowe obiekty przemysłowe, wielka sprawa Ziem Zachodnich oto ogólnikowo skreślony rejestr tematów pochwyconych zaborczo namiętną i zdrową ambicją omnibusowego raidu przez szerokie połacie naszej rzeczywistości.

Rekordowe tempo realizacji pomysłów pisarskich, wielka wrażliwość na ich aktualne treści, żarliwa pasja towarzyszenia przemianom w ich wzrastającym rytmie zdobywczego pośpiechu, wreszcie dziennikarska namiętność podejmowania zadań coraz to nowych — musiała wpływać, wpływała i wpływa na nierówność, często nawet na prowizoryczność, czy wręcz na gazetową — w złym tego słowa znaczeniu — sloganowość prac Koźniewskiego. W bogatym jego dorobku pisarskim i publicystycznym nie tylko nie jedno zdanie, czy nie jedną stronę, ale czasami całe partie, rozdziały lub nawet pozycje mógłby poprawić przeciętnie czujny adiustator. W niektórych wypadkach główną zasługą Koźniewskiego była doraźność reakcji, szybkość, sprawność reporterskiego przekazywania wiedzy o dziejącej się rzeczywistości.

Przeglądając „Szczotkę do butów" „Przez dziesięć wojen", „Rok ziemi obcej", „Extry i primy", „T.T. Jeża" czy rozsiane po wszystkich niemal pismach ogólnopolskich artykuły można by postawić wiele pytajników dyskusyjnych, wiele wręcz protestacyjnych wykrzykników, ale jednocześnie nie sposób przeoczyć procesu dojrzewania pisarskiego, krystalizującego się już w bogatą i twórczą indywidualność autora „Żywiołów".

Dlatego z tym większym zainteresowaniem sięga się po nową książkę Koźniewskiego, którą tym razem jest powieść o młodzieży powojennej, o jej dążeniu wyprostowanymi ścieżkami ku mądrzejszemu i lepszemu życiu. *)

Książka ta jak większość rzeczy Koźniewskiego, pęka od problemów. Książkę tę, jak wszystkie prawie książki Koźniewskiego, dynamizuje żywy temperament polityczny. W książce tej, jak w każdej niemal książce Koźniewskiego, odkrywamy wielki ładunek pasji obserwatorskiej, kronikarskiej żarliwości, namiętności dydaktycznej i swojego rodzaju obcesowości ideologicznej, ideologicznego animuszu jednocześnie kibica i uczestnika dziejącej się historii.

W książce tej, jeśli chodzi o sposób organizowania materii literackiej, Koźniewski pozostał wierny sobie z przed lat, temu Koźniewskiemu, który historię emigracyjnych matactw wpisywał w sensacyjno-kryminalną fabułę „Szczotki do butów". „Piątka z ulicy Barskiej" na pierwszy rzut oka jest powieścią kryminalną, osnutą na tle działalności dywersyjnej bandy agentów i zdrajców, powieścią niemal wallace'owskiego typu. Jest w niej gęsta siatka frapujących zawęzleń sytuacyjnych, porywająca wartkość fabularna, lekkość narracji, żywość krótkich spięć i sprawna technika ich rozładowań, jednym słowem cały mechanizm dobrze zbudowanego romansu sytuacyjnego.

Ale to już nie — jak było w „Szczotce do butów" — ramy dla reporterskiej relacji o barwności świata, to już nie sprytna robótka pisarska zdolnego opowiadacza ciekawych przygód czy pikantnych anegdot politycznych. To już powieść polityczna o określonej linii, o zdecydowanej tezie ideologicznej, o wyraźnie zarysowanym końcu programowym.

„Pięciu chłopców z Ochoty", zagubionych w szczeniackich zboczeniach, zarażonych stylem łobuzerskiego „pełnienia służby" pod wodzą dywersanta, pięciu chłopców wplątanych w sieć szantażu, obłudy i zaślepienia to wielki problem części młodzieży, deprawowanej przez londyńskie inspiracje. Ewolucja pięciu chłopców z Ochoty, których ścieżki prostuje historia ogólnego przełomu, których dokonująca się przemiana wyprowadza z manowców na jedną z prostszych dróg — to zapis przeobrażania się ludzi, zapis przełamywania resztek fałszywych mitów, to dekonspirowanie nieświadomej zdrady i wskazywanie kierunku rehabilitacji.

Przedstawiając ten problem za pośrednictwem żywego obrazu wewnętrznego przełomu poszczególnych bohaterów Koźniewski wykazuje pełne zrozumienie integralnej łączności konstrukcji losów ludzkich z warunkami społecznymi, wykazuje zdolność przekonującego uargumentowania indywidualnych rozstrzygnięć swoich postaci, dochodzących do właściwych decyzji nie drogą oderwanych rozważań, lecz po prostu przez konfrontację dawnego stylu życia, dawnych potrzeb, dawnych celów i zadań z tymi, które jawią się w perspektywie twórczego uczestnictwa w budowaniu nowego życia w nowej Polsce. Zestawienie tych dwóch sfer, dwóch klimatów, dwóch światów odrębnych wypada w książce wyraziście i ma siłę dyktowania wniosków jednoznacznych w swojej treści ideowej.

Siła ta wynika z odwagi spojrzenia na niewyretuszowane i nie zaciemnione eufemizmami zawęzlenia, konflikty i problemy współczesnej rzeczywistości. Koźniewski potrafi zwrócić uwagę na niewłaściwość zachowania się niektórych źle przygotowanych do pełnienia swych zadań

Kazimierz Koźniewski

funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, potrafi zatrzymać się przez chwilę z krytycznym uśmiechem obok pomyłek w metodach działania, popełnionych przez jedno z kół szkolnych ZMP, potrafi przede wszystkim nadać swej książce akcenty nie tylko łatwego optymizmu, lecz optymizmu chwilami nakazującego spojrzeć w trudną przyszłość Lutka, który siedzi w więzieniu, czy Kazika, który zamiast przed ludźmi przyznającymi mu nagrodę za osiągnięcia we współzawodnictwie pracy, stanąć musi przed sądem dla nieletnich, który może go zwolni, „albo może i nie zwolni". Tej odwadze widzenia ostrych konturów problematyki młodzieżowej zawdzięcza „Piątka z ulicy Barskiej" swoją prawdziwość. Dzięki tej odwadze optymizm powieści nie jest łatwym ozdobnikiem, lecz istotną, mobilizującą treścią. Książka umie dowieść, że prostują się drogi młodych, chociaż ciągle grozi im cień zwodzący na manowce. Książka potrafi przekonać, że wyprostowanymi ścieżkami dążą młodzi do piękniejszych celów nowego życia, chociaż szlaki ich wikła jeszcze lisi trop przyczajonego dywersanta i sabotażysty. To stanowi o głównej wartości książki. To czyni ją książką zwycięską, twórczą, wzbogacającą.

Większe było by jej bogactwo większa siła i pełniejsza prawda wewnętrzna, gdyby autor — co mimo wszystko ciąży nad książką — mniej śpieszył się w kreśleniu charakterów, ostrożniej rejestrował ich przemiany, szerzej przedstawiał uwarunkowania, głębiej wnikał w złożoność ukazywanych procesów. W „Piątce z ulicy Barskiej" odczuć można — mimo wszystko — skłonność ku koncepcyjnym zaokrągleniom i uproszczeniom problemowym.

Najwyraźniej przejawia się to w przemilczeniu spraw, o których takie zagadnienia poruszając, milczeć chyba nie można. Najważniejszą z tych spraw jest sprawa domu, sprawa społecznej funkcji rodziny, sprawa wpływu rodziców czy opiekunów. Chłopcy Koźniewskiego znajdują tych opiekunów na swoich nowych placówkach socjalistycznego budownictwa. Odnotowanie tej prawdy jest zgodne z rzeczywistością. Ale dlaczego nie wiemy nic, lub prawie nic o domach rodzinnych młodych bohaterów powieści? Dlaczego jedynie negatywne uwarunkowania rodzinne Lutka doczekały się swoiste wyrazu w książce Koźniewskiego? Przecież pozostali chłopcy także żyli, spali, jedli, bawili się w konkretnym środowisku, wśród osób troszczących się o ich rozwój, wywierających wpływ choćby poprzez strofowanie czy kary, jeśli już nie przez pozytywny system wychowawczy. Za mało o tym mówi autor. Koźniewski po prostu „nie czuje" tego problemu, przemyka się wśród jego zawiłości, ześlizguje się po powierzchni. Tak czy inaczej — osłabia tym brakiem wymowę, umniejsza pełnię, zuboża bogactwo swego utworu.

Podobnym zubożeniem utworu, wynikłym ze stosowania w pewnych wypadkach uniku pisarskiego jest wykrojenie ze świadomości młodocianych bohaterów całej sfery zagadnień, które określamy tu skrótowo jako historię Teofila Grodzickiego z „Nieba w płomieniach".

Oczywiście, bohater Parandowskiego był — jak to się brzydko i słusznie mówi — produktem innej epoki i innego środowiska. Nie domagamy się inteligenckiego rezonerstwa od młodziutkich bohaterów Koźniewskiego. W innych żyją warunkach, inna jest ich sytuacja, inne wyposażenie intelektualne i inny bagaż psychiczny. Ale czy tłumaczy to całkowicie zupełną absencję umysłową w zakresie spraw tak ważnych jak te, które pasjonowały Grodzickiego i atakować muszą wszystkich Grodzickich we wszystkich epokach i we wszystkich środowiskach? Czy nie powinny te sprawy dojść do głosu choćby per negationem, jeśli autor inaczej ich nie dostrzega w przeżyciach swych bohaterów?

Wiemy, że odpowiedź na te pytania jest trudna. Pytanie jednak jest konieczne. Fakt jego konieczności obciąża w naszym wyobrażeniu książkę.

Są to jednak obciążenia, które zasadniczego sądu o książce — zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę posiadaną przez nas wiedzę o postawie autora — nie zmienią. Pozostanie ona książką zwycięską, twórczą, wzbogacającą.

I książką, będącą dowodem dużych możliwości pisarskich Koźniewskiego.

Reporterska żywość obserwacji, wzorowa konstrukcja wytrawnego publicysty, lekkość i wartkość dialogów rasowego gawędziarza, zwięzłość i trafność słowa właściwa dobremu kronikarzowi, zdolność plastycznego opowiadania, cechująca zaprawionego w wielu rodzajach literackich narratora — sprzymierzyły się w tej książce dla nadania jej dużej wartości literackiej, wartości artystycznej.

Mógłby autor pokusić się czasami o większą czystość komórki zdaniowej, mógłby zatroszczyć się o jeszcze wyraźniejszą indywidualizację swoich bohaterów, mógłby ostrożniej postępować z wyborem drugoplanowych postaci cierpiących na nadmiar typowości, mógłby uchronić swój styl Koźniewskiego-pisarza od zapożyczeń u Koźniewskiego-publicysty. Włoży w to na pewno więcej wysiłku przy swojej następnej pracy. Ale i teraz z „Piątki z ulicy Barskiej" ma prawo być zadowolony, a czytelnicy mają obowiązek wymierzyć dziełu jego sprawiedliwość miarą jak najżywszego zainteresowania.

I pisarz i jego ostatnia książka i poruszony w niej problem centralny zasługują na to w pełni.

Zygmunt Lichniak

* Kazimierz Koźniewski: „Piątka z ulicy Barskiej", powieść, Warszawa 1952 PIW, str. 284.

Recenzja nie na temat

TEMATEM recenzji miała być siódma okręgowa wystawa Gdańskiego Oddziału Związku Artystów Plastyków. Redaktor polecając mi spisanie moich uwag powiedział, że artyści gdańscy (lub jak ich częściej nazywają „sopoccy") stanowią tak ciekawą i twórczą grupę na tle naszej powojennej plastyki, iż nawet ich okręgowe wystawy zasługują w pełni na omówienie na łamach ogólnopolskich czasopism. Podzielam w pełni tę opinię i wybierając się do Sopotu, który we wrześniowych szarugach nie nęcił już żadnymi względami ubocznymi, miałem zamiar napisać „regularną" recenzję. Chciałem po prostu powiedzieć czytelnikom jak się to już nieraz mówiło, że X dał ciekawe i dobrze skomponowane studium pastelowe, Y pejzaż trochę zamazany kolorystycznie, zaś Z tym razem zawiódł...

Ale po namyśle doszedłem do przekonania, że należy zbuntować się przeciwko redaktorowi, bo nawet jeśli te niewiadome (X, Y, Z) zastąpimy znanymi nazwiskami, to czytelnicy z Warszawy, Krakowa i Poznania nie będą wiedzieli dobrze o co recenzentowi idzie i o ile on ma rację. Nawet jeśli uda się zamieścić reprodukcje i nawet jeśli reprodukcje te nie będą tylko szaro-czarnymi plamami, cała recenzja wisieć będzie w próżni. Więc zamiast tego postanowiłem miejsce przeznaczone na omówienie szczegółowe poświęcić paru problemom ogólnym.

Pierwszy problem to sprawa środowisk.

Dzisiaj, kiedy program artystyczny obejmuje wszystkie sztuki i wszystkich artystów, może wydawać się, że środowiska i ich rola kulturalna zanika. Tymczasem, właśnie na przykładzie plastyków sopockich, obserwujemy wielostronnie ciekawe zjawisko formowania się, krzepnięcia silnego zespołu artystycznego. Dzięki założeniu Akademii Sztuk Pięknych w Sopocie, w której kierownictwo pracowni objęli wybitni artyści, teren — na którym dotychczas prosperowała ckliwa sztuka domorosłych karykaturzystów morza — zwróciła się do ciekawych, twórczych indywidualności.

Natomiast odpowiedzieć na pytanie, czym w szczególności wyróżnia się środowisko wybrzeżowe, było by trudno. Nie obserwujemy tu żadnych specjalnych cech, ani w opracowaniu tematu, ani w jego doborze. Znajdujemy natomiast wyraźną troskę o poziom artystyczny, kultywację dobrego, wrażliwego, wnikliwego malowania. W takich warunkach środowisko nie jest niczym innym, jak zespołem ludzi ożywionych tą samą pasją, którzy w codziennym współżyciu wymieniają wyniki swoich doświadczeń.

Przechodząc do drugiej sprawy zauważymy na wstępie, że charakter wystaw okręgowych zmienił się w sposób zasadniczy. Wiadoma jest rzeczą, że właściwym pokazem osiągnięć są wystawy ogólnopolskie. W tym roku plastycy sopoccy potraktowali swoją wystawę jako pokaz prac warsztatowych. I to wydaje się bardzo słuszna i zdrową myślą.

Obserwując na ostatniej ogólnopolskiej wystawie niektóre wielkie tematyczne płótna, stale mieliśmy uczucie, że warsztat nie nadąża za tematem. Postacie stały sztywno i nienaturalnie, na tle obojętnych wnętrz i niepewnie traktowanych krajobrazów. Jeśli już na stole znalazła się martwa natura, parę książek i pęczek kwiatów, to z reguły szczegóły te były potraktowane jako nieważne detale, nie warte trudu i ciepłego ludzkiego spojrzenia.

Dlatego z radością witamy na wystawie sopockiej kilkanaście mocnych pejzaży. Pejzaż na skutek wspólnej wyprawy plastyków do Chmielna obrodził szczególnie bujnie. Nie brak też portretów. Zanotowaliśmy kilka poważnych martwych natur. Wystawa tedy uczy rzetelności malarskiej i przypomina o potrzebie ścisłego związku wyobraźni plastycznej z precyzyjnym, upartym i zakochanym studium natury.

Na koniec byłem obecny trochę nielegalnie, na dyskusji artystów, na temat wystawionych prac. Z przyjemnością słuchałem mocnych starć, żarliwych przemówień i namiętnych ataków. Jeszcze jeden dowód, że środowisko sopockie jest żywe.

W czasie dyskusji wypłynęła trzecia z kolei sprawa tej recenzji nie na temat. Właśnie sprawa recenzji. Plastycy odczytali dwa omówienia zamieszczone w miejscowej prasie, poczem obecnych ogarnął śmiech pusty, a potem litość i trwoga.

Trwoga jest istotnie wielka. Tak jakoś u nas wygląda, że malarze nie zbyt dobrze piszą, (chlubne wyjątki Gotlib, Wolff, Lam, Niesiołowski, Winkler i paru innych), a ci co piszą nie znają się nic a nic na malarstwie. Cóż robić? Myślę, że hasło propagowane swego czasu, „tylko pastyk może mówić o plastyce" nie ma wielkich szans i, że istnieje przecież zawód krytyka artystycznego. A przy tym malarze zbyt mało starają się o sojuszników, spośród ludzi piszących: literatów, poetów, dziennikarzy, publicystów. Wbrew historycznej nauce, że przypomnimy tylko nazwiska Baudelaira, Goncourtów, Zoli, Apollinaire'a i tylu innych dzielnych i wytrwałych sprzymierzeńców nowej sztuki.

Stefan Martha

Szymon DEREŃ

Zza kulis nazistowskiego wywiadu

DEKADENCJA poważnej części literatury zachodniej jest rzeczą powszechnie znaną. Jednym z objawów tego jest wysuwanie się w niej na pierwszy plan książek sensacyjnych, które grając na niskich instynktach ludzkich, uganiają się za szeroką poczytnością, a za pomocą rzekomej troski o dostarczanie czytelnikom lektury rozrywkowej, odwracają ich uwagę od istotnych i podstawowych zagadnień naszych czasów.

Wśród tej literatury popularne są na Zachodzie książki zawierające frapujące, wyimaginowane „rewelacje" o kulisach intryg politycznych, czy też działalności różnych wywiadów. W zasadzie problematyka taka uprzedzając o niebezpieczeństwie, jakie grozi ze strony dywersyjnej i szpiegowskiej działalności agresorow mogła by być bardzo pożyteczna. Nie taką jest jednak wspomniana publicystyka zachodnia. Cechuje je zwykle podstępna tendencyjność: pod pozorem zaspokajania ciekawości czytelników, usiluje ona przeważnie przemycać fałszowanie prawdy historycznej w imię konkretnego „zamówienia społecznego" czynników uprawiających politykę imperialistyczną.

Przykładem takiej publicystyki jest książka Waltera Hagena „Na tajnym froncie"*). Autor, aktywny współpracownik wywiadu hitlerowskiego podczas drugiej wojny światowej, wabi czytelnika perspektywą odsłonięcia kulis tzw. tajnej służby Trzeciej Rzeszy. Po przeczytaniu książki widzimy jednak, że nie o to mu chodziło. Prawdziwych rewelacji nie znajdujemy tam prawie zupełnie, natomiast zarysowuje się nam wyraźna chęć usprawiedliwiania polityki faszyzmu niemieckiego i wyraźnej apologii tajnej służby niemieckiej, której najbardziej istotną częścią składową było przecież gestapo.

Ileż ciekawych rzeczy mógłby nam opowiedzieć współpracownik wywiadu niemieckiego, który jak wynika z jego opisów, miał dostęp do najbardziej tajnych akt i obracał się w otoczeniu głównych kierowników gestapo! Na próżno byśmy jednak szukali w jego książce najpobieżniejszej nawet charakterystyki metod terroru policyjnego, za pomocą którego hitlerowcy gnębili własny naród i uciskali kraje podbite, albo też opisu akcji dywersyjnych i sabotażowych osławionej „piątej kolumny", usiłującej zdemoralizować i zdezorganizować od wewnątrz obce społeczeństwa. Wiele zapowiadający podtytuł: „Organizacja, osoby i działalność niemieckiej służby tajnej" — pozostał tylko niespełnioną obietnicą.

Walter Hagen zaczyna od krótkiego szkicu organizacyjnego wywiadu niemieckiego. Już od razu widzimy, że to zwykła mistyfikacja. Dowiadujemy się tylko takich ogólnie znanych „rewelacji", jak, że wywiad hitlerowski składał się z odcinka wojskowego i politycznego, przy czym każdy z nich obejmował dział właściwej służby wywiadowczo-informacyjnej, dział dywersji i sabotażu w obcych państwach oraz kontrwywiad. Nie daje to nic nowego: taki sam schemat organizacyjny istniał od lat we wszystkich służbach tajnych innych państw burżuazyjnych. Tak samo nie było żadną tajemnicą, że wywiad polityczny stanowił jeden z departamentów (wraz z gestapo i policją kryminalną) tzw. Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt), na którego czele stał Himmler.

Istotna tendencyjność książki Hagena występuje wyraźnie przy charakterystyce przez niego czołowych kierowników tajnej służby hitlerowskiej, w szczególności Heydricha, Himmlera, Kaltenbrunnera, Canarisa i ich współpracowników. Metoda zastosowana przez autora jest w gruncie rzeczy dość symplicystyczna. Uwagę swoją koncentruje on na osobie Reinharda Heydricha, który przez wiele lat był szefem Urzędu Bezpieczeństwa i prawą ręką Himmlera, a zginął — jak wiadomo — w 1942 r. z rąk patriotów czeskich, będąc na stanowisku zastępcy Protektora Czech i Moraw. Hagen usiłuje przedstawić nam Heydricha jako postać wprost demoniczną; jedynie godne dla niego porównanie znajduje w Cezarze Borgia. Maluje go jako człowieka pożeranego nieograniczoną ambicją, dążącego do stanowiska kanclerza i robiącego karierę dosłownie po trupach. Robi z niego typ patologiczny, w którym nienawiść, okrucieństwo i bezwzględność szły w parze z pogardą do wszelkich uczuć ludzkich.

Himmlera charakteryzuje Hagen jako jednostkę niezbyt wybitną, opętaną całkowicie przez machiawelizm Heydricha. I jego przedstawia jako typ patologiczny, łączący jakiś chorobliwy romantyzm rasistowsko-pogański z zagłębianiem się w praktyki okultystyczne. Inni wymienieni kierownicy tajnej służby, jak następca Heydricha Kaltenbrunner, zwierzchnik wywiadu wojskowego admirał Canaris, szef gestapo generał Müller, dyrektor departamentu Urzędu Bezpieczeństwa generał Werner Best, szef policji kryminalnej generał Arthur Nebe i in. — to według autora bądź wytrawni i ambitni fachowcy, bądź wierzący w Führera bezkrytyczni idealiści, ale zawsze „zacni i porządni" (sic!) Niemcy, pragnący dobra dla swej ojczyzny i odwracający się od Hitlera, gdy tylko spostrzegli, że polityka jego prowadzi do katastrofy.

Cel takiej „specyficznej" charakterystyki jest bardzo przejrzysty. Mamy próbę „wybielenia" gestapo (w szerokim, popularnie stosowanym znaczeniu tego słowa) przez zrzucenie odpowiedzialności za wszystkie okropności i zbrodnie na jednego człowieka, przedstawianego jako typ patologiczny, a więc nieodpowiedzialny za swe czyny. Hagen stara się sprecyzować swą myśl, ilustrując ją na szeregu przykładach. Słynna „noc długich noży" 30 czerwca 1934 r., to — jego zdaniem — intryga Heydricha torującego sobie w ten sposób drogę do wpływów i władzy. Masowe prześladowania i mordowania Żydów zorganizował rzekomo Heydrich dla tuszowania swego własnego niearyjskiego pochodzenia (babka Żydówka). Prześladowania religii i wrogość do chrześcijaństwa, to jakoby rezultat kompleksu wyniesionego z domu rodzicielskiego itd. Kto by pomyślał, że mogą być tak naiwni ludzie, którzy oskarżają o te zbrodnie ustrój faszystowski jako taki!

Czytelnikowi sugeruje się, że gdyby nie było Heydricha, to reżim hitlerowski nie byłby skalany ogólnie znanymi zbrodniami. Bo też poza paru jeszcze dość zresztą znanymi przykładami szalbierstw tajnej policji hitlerowskiej (zawsze wysuwana jest na pierwszy plan wina Heydricha), jak fabrykowanie oszczerczych oskarżeń przeciwko generałom Blombergowi i Fritschowi, sfingowany zamach na Hitlera w Monachium w październiku 1939 r., fałszowanie obcych walut — w książce nie ma żadnego przedstawienia zbrodni przeciwko ludzkości popełnianych przez gestapo.

PODOBNY obraz rzeczywistości w krzywym zwierciadle daje też druga część książki, omawiająca kolejno rolę tajnej agentury hitlerowskiej w Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii, Bułgarii, na Węgrzech i we Włoszech. Są to właściwie szkice epizodów historycznych z życia wewnętrznego tych państw przed wojną (Czechosłowacja) i podczas drugiej wojny światowej (inne wspomniane kraje).

W wypadku Czechosłowacji autor uwzględnia przede wszystkim dzieje powstania i rolę partii Henleina jak również sprawę Słowacji i Rusi Zakarpackiej. W odniesieniu do innych państw Europy południowo-wschodniej, książka omawia powstanie prohitlerowskich ustrojów faszystowskich. Rozdział poświęcony Włochom dotyczy głównie upadku dyktatury Mussoliniego oraz porwania jego i Ciano spod aresztu przez bojówki gestapo.

Hagen omawia te sprawy z równie bezczelną tendencyjnością. Sprowadza wszystko do konkurencyjnych rozgrywek o władzę wewnątrz obozu reakcji. Świadomie nie dostrzega wszelkich sprzeczności klasowych, a narodowe ruchy rewolucyjno-powstańcze przeciwko okupantom hitlerowskim zbywa często pogardliwym określeniem „rozreklamowanej fikcji propagandowej". Usiłuje przedstawiać ruchy faszystowskie w poszczególnych z omawianych krajów jako „zdrowe tendencje narodowe", powstające rzekomo zupełnie samorzutnie bez żadnej pomocy agentury hitlerowskiej. Nie troszcząc się o konsekwencję raz piętnuje oficjalną politykę Trzeciej Rzeszy za to, że nie oparła się na czysto faszystowskich organizacjach, ale na dawnych reżimach dyktatorsko militarystycznych (Węgry, Rumunia), drugi raz zaś odwrotnie, za to, że nie dążyła do stworzenia szerokiego frontu całego obozu reakcyjno-nacjonalistycznego, ale popierała jedynie grupę ekstremistycznych emigrantów (reżim Pavelica w Kroacji).

Wszystkie te wywody sprowadzają się do absurdalnej tezy, iż polityka hitlerowska zaprzepaściła istniejące dla Niemiec na Bałkanach możliwości, co odbiło się decydująco na końcowym wyniku wojny. Możliwości te — głosi Hagen — widział i próbował wykorzystać „mądry i przewidujący" wywiad niemiecki, ale jego wysiłki uderemnione zostały przez upór Hitlera, głupotę Ribbentropa i niezdecydowanie Himmlera.

Hagen omawia rozwój sytuacji politycznej we wspomnianych państwach głównie na podstawie ogłoszonej już po wojnie literatury politycznej, dodając tylko gdzieniegdzie mało znaczące wstawki o dotyczących tych spraw personalnych rozgrywkach wewnątrz kierownictwa hitlerowskiego. Zdarza mu się jednak przytaczać fakty, które rzucają ciekawe światło na kulisy polityki imperialistycznej.

Nieznany dotychczas był fakt, że już przed 1935 r. Intelligence Service w osobie swego przedstawiciela na Europę Środkową, pułkownika Grahama Christie, utrzymywało bliskie kontakty z partią Henleina i popierało ją na podstawie przesłanki, że waga gatunkowa tej faszystowskiej organizacji przyczynić się może do podminowania istniejącej już wówczas bliższej współpracy politycznej czechosłowacko-radzieckiej. To ten pułkownik Christie zorganizował dwie kolejne wizyty Henleina w Londy-

(Dokończenie na str. 12)

*) Walter Hagen „Die Geheime Front" Organisation, Personen und Aktionen des Deutschen Geheimdienstes. Linz und Wien 1950. Nibelungen-Verlag. str. 516.

SZKICE LITERACKIE

Stanisława Pigonia

TOM „Studiów literackich"*) profesora St. Pigonia wydany w roku 1951, roku, w którym profesor obchodził jubileusz czterdziestolecia pracy naukowej i pedagogicznej, jest pozycją znamienną dla autora. Nie jest rzeczą przypadku, że dysertacja doktorska St. Pigonia dotyczyła Mickiewicza („O Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego" A. Mickiewicza", Kraków 1911). Prawie wszystkie prace znakomitego uczonego, jak koło słońca krążą bliżej lub dalej postaci Adama Mickiewicza. To również można powiedzieć o ostatnim tomie Pigonia. Na tom składa się czternaście szkiców, częściowo przedrukowanych z tomu „Na wyżynach romantyzmu", częściowo z różnych czasopism, względnie dotąd nie publikowanych. Jak słusznie zauważył kiedyś T. Mikulski, Pigoń najchętniej posługuje się formą szkicu literackiego, który w takim np. studium, jak „Mickiewicza — Skład Zasad" doprowadzony został do szczytu doskonałości. Śmiało można powiedzieć, jeżeli weźmiemy przy tym pod uwagę swoisty styl autora o „szkicu pigoniowskim".

W zamierzeniach autora tom miał początkowo obejmować przedruk studiów z tomu „Na wyżynach romantyzmu", dlatego też w szczególny sposób daje się odczuć brak studium „Orzeł i kruk w małej improwizacji". Na szczególne podkreślenie zasługuje przedruk jedynej w swoim rodzaju monografii o „Dziadach wileńsko-kowieńskich". Szkoda, że autor przy ustalaniu etymologii wyrazu „guślarz" nie wziął pod uwagę słownika Lindego (na co zwrócił uwagę Borowy).

Tezy szkicu „Mickiewicz wobec spisków galicyjskich" bardzo ważnego dla przekonań politycznych Mickiewicza, znalazły ostatnio potwierdzenie w pracy J. Kleinera „Lelewela pismo do przyjaciół galicyjskich" Spr. PAU 1950. W interesującym szkicu „Kochanowski w sądach romantyków", który wygłoszony był jako referat na pamiętnym Zjeździe im. J. Kochanowskiego w 1930 roku, zajmuje się Pigoń zagadnieniem czy Kochanowski skrzywił rozwój polskiej poezji, czy nie?

Studium „O Michale Kubrakowiczu zapomnianym pisarzu politycznym na emigracji" wiąże się tematycznie z większą pracą autora „Zręby nowej Polski w publicystyce Wielkiej Emigracji". Pigonia-filologa poznajemy z takich studiów jak „Kościuszko" S. Goszczyńskiego, czy „Mickiewicza Skład Zasad" znakomity mickiewiczolog mający na swoim koncie wydania zbiorowe pism Żeromskiego, Orkana, twórczości poetyckiej Mickiewicza, listów Goszczyńskiego, Norwida i in., daje nam wyborny pokaz użycia „lupy filologa" pod którą nic się nie ukryje.

Pigoń należy w Polsce do grona tych nielicznych uczonych, których prace są znane nie tylko w ciasnym kole specjalistów, lecz także w szerokim gronie inteligencji.

Z wielkim zadowoleniem należy powitać pojawienie się w witrynach księgarskich „Studiów literackich" — pozycji od dawna oczekiwanej. Z niesłabnącym zainteresowaniem oczekujemy następnej pozycji profesora — monografii o Orkanie, której fragmenty niedawno były publikowane w prasie.

Zenon Filipkiewicz

*) St. Pigoń „Studia literackie" M. Kot. 1951. str. 301.

Trybun ludu śląskiego

ŚLĄSK — to zagadnienie nie zwykłe zarówno dla historyka jak i dla socjologa. Parę wieków odcięcia od życia narodowego, wydanie na łup pruskiego szowinizmu i kapitalistycznego, bezwzględnego ucisku uformowało stosunki społeczne i polityczne oraz ludzkie postawy w sposób zupełnie nietypowy w porównaniu z innymi dzielnicami porozbiorowej Polski. Śląsk był w ciągu całego wieku XIX-ego i znacznej części XX-ego krainą egzotyczną dla mieszkańca t.zw. Kongresówki i Galicji, nieco mniej egzotyczną dla Poznaniaka, chociaż żywe w poznańskim i wartkie życie narodowe nie dały Wielkopolsce nigdy zapomnieć, że jest polską, co stało się losem znacznej części Śląska. Egzotyczność Śląska stała się powodem legendy kursującej po Warszawie i po Krakowie, a raczej dwóch legend z których jedna tylko była dla Śląska krzywdząca, ale obydwie fałszywe i szkodliwe.

Legenda pierwsza mówiła o niezłomnej polskości ślązaków, narażonych na bezwzględny nacisk germanizacyjny, mówiła o wierności narodowi posuniętej do zupełnego samozaparcia się i codziennych a wielkich poświęceń. Legenda druga mówiła o zupełnym wynarodowieniu się ślązaków i złudnym pozorze zachowanego na Śląsku polskiego języka. Pierwsza była przesadnie optymistyczna, druga na oko bardziej realistyczna będąca już jednak zupełnym nieporozumieniem. Błąd obydwu tkwił w tym że u ich wyznawców pojęcie narodu sprowadzało się do wspomnienia o szabli spod Zbaraża i szwoleżerskiej chorągiewce. Wierność narodowi to poprzez język, religię, obyczaje wierność tradycjom rycerskiej wielkości, wierność barwnej szlachet czyźnie. Dla tych samych powodów przeciętny Polak-inteligent gotów był odmówić (i odmawiał) patriotyzmu temu warszawskiemu robotnikowi, który nie przejmując się zupełnie wspomnieniami Chocimia i Kłuszyna — niewiele o nich nawet wiedział — strajkował o tak „prozaiczny" cel jak skrócenie dnia roboczego. Śląsk tymczasem był polski i proletariacki. Sensu tego nie można było zrozumieć kategoriami myślenia szlachecko-inteligenckiego.

Dobrą stroną broszurki dr Janiny Ender *) jest to właśnie, że pisząc o przywódcy ludu śląskiego w połowie wieku XIX-ego ks. Józefie Szafranku nie czyni z niego wbrew faktom bojownika polskości rozumianej na sposób tradycyjny, ale słusznie podkreśla jego „śląskość". Walka prowadzona przez ks. Józefa Szafranka była walką o prawa dla ludu śląskiego, o jego prawo do chleba i języka polskiego. Nie był przy tym ks. Szafranek nacjonalistą — przemawia zarówno po polsku jak i po niemiecku, zależnie od tego z jakimi słuchaczami ma do czynienia. Co więcej — nie wiemy nawet czy uważał się za Polaka w takim sensie jak na przykład uważał się Miarka. Walczył ks. Szafranek o postęp i sprawiedliwość społeczną, ponieważ jednak na Śląsku w miarę rozwoju kapitalizmu podziały narodowościowe utożsamiały się coraz bardziej z podziałami klasowymi, każda taka walka była zarazem walką o prawa dla polskości. Dlatego należy ks. Szafranek do tego samego szeregu zasłużonych na Śląsku Polsce ludzi co Miarka i Lompa, bez względu na szczegóły jego politycznej i narodowej postawy.

Wszelkie zarzuty, jakie chciałby ktoś uczynić broszurce dr Janiny Ender ustają wobec faktu, że jest to wydanie popularne o przeznaczeniu informacyjnym. Zadanie to broszurka spełnia przy jednoczesnej poprawności historycznej. Pewne zarzuty można mieć natomiast do opracowania redakcyjnego. W tekście puszczono pewne niejasności (kim był naprawdę Kosicki?) i błędy zecerskie odejmujące zdaniu wszelki sens. Jest ich na szczęście niewiele.

Kw.

*) dr Janina Ender „Ks. Józef Szafranek Trybun ludu śląskiego" W-wa, 1952, nakładem Kom. Intelektualistów i Działaczy Katolickich. Przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju. str. 60.

O postawach wierzącego

(Dokończenie ze str. 5)

Boga, jedynego istotnego Objawiciela, dzięki któremu Pismo jest życiem, Tradycja — duchem, a historia — świadectwem. Lecz czy i to wystarczy dla uszanowania samej istności podmiotu? Czy sprawdzalny zmysłami Chrystus nie był nam narzucony jako fakt, a Kościół jako instytucja? Tak, bez wątpienia. Istnieje fakt Jezusa, i istnieje fakt Kościoła, podwójna doświadczalna rzeczywistość; lecz aby przejść od tych faktów do interpretacji doktrynalnej i aby zaangażować swe życie dla tej interpretacji potrzeba każdemu człowiekowi rzeczywistego zesłania Ducha. Przyjęcie faktu w obręb doktryny, określonej sytuacji w obręb wiary zawsze jest decyzją nawskroś osobistą, wolną i radykalną. Nie, nigdy nic — nawet Ewangelia — nie było dane jako coś bezwładnego i zniewalającego. Otwierając się, oczy wiary nadal przyzywają świat.

Wierzący spotwarza zatem siebie samego, jeśli wyobraża sobie, że prawda go wyprzedza, bierze go w swą władzę i niesie bez jego wysiłku. Przerzuca bowiem przed swe narodziny, poza własną psychologię, nawet poza własne sumienie to działanie nawskroś wewnętrzne, dzięki któremu objawia mu się Boża łaska. Lecz nie powinien na wzór absolutnej Obecności kanonizować swych wyobrażeń, tworzonych ze schematów wątłych i często złudnych. Nie powinien też zapominać, że jeśli Bóg daje mu władzę stwarzania siebie przez czyn, to nie kto inny, tylko on właśnie, umysł skończony i twórca dóbr skończonych promieniuje w świat idee i wartości. I jeśli za wolą Boga wznosi się aż do wyżyn wiary, to nadal przecież on sam wyraża to nowe spojrzenie i Bóg ani nikt inny nie zwolni go od obowiązku nieustannego skupienia uwagi i czujności.

CZY to jakaś niewydana dotąd i przez to samo podejrzana antropologia chrześcijańska? Podejrzenie takie, gdyby się miało zrodzić, było by dziwne. Było by to tyle samo co dyskredytowanie prób zmierzających ku temu, aby na drogach postępu duchowego wiara, prawda, wolność kroczyły razem. Lecz powstaje niewątpliwie obawa, że obudzenie ducha do autonomii w pewnym stopniu przytłumi szczerość czy posłuszeństwo. Czy jest jednak właściwą drogą do szczerości uczepić się tego, co nie jest Bogiem? I czy jest środkiem do posłuszeństwa uginać karku zamiast z oblicza autorytetu odczytywać prawdziwy znak Mocodawcy? Na odwrót, nie ma lojalności i uległości prawdziwej bez prawości, która nieustannie osądza samą siebie i wszystko poddaje osądowi. Nic na to nie poradzimy, lecz oddawać cześć Bogu znaczy równocześnie odmawiać zginania kolan przed bożyszczami.

Niemniej może powstać nieufność wobec tej trudno osiągalnej wiary. Czy nie łączy się ona — choć nie przyznaje się do tego — z rodzajem duchowego arystokratyzmu? Jest to tylko pozór. Nie chce ona być wiedzą dla wtajemniczonych, przynosi więcej ryzyka aniżeli przywilejów. Istnieje zresztą tylko jeden rozstrzygający sprawdzian: miłość. Lecz tu czeka nas jeszcze jedna niespodzianka. Jest to w chrześcijaństwie pojęcie najbardziej płomienne, a przecież nie ma drugiego, które by bardziej starano się zwęzić. Przewyższa ono moralność, jak wierność z miłości przewyższa uległość wobec prawa, przecież usiłowano sprowadzić stan łaski, będący życiem miłości, do jakiejś buchalterii uczynków cnotliwych i grzesznych. Jest ono nieskończenie szlachetniejsze niż wszelki popęd afektywny i wszelkie działanie wrażliwości; lecz mimo to chciano je ograniczyć do wymiarów czułostkowego pietyzmu. Zaiste religia miłości nie ma wspólnej miary z pobożnością czysto psychologiczną, z tą kulturą „ja", która rozporządza setką przepisów na rozwijanie w duszy powagi i znaczenia.

Miłość jest w rzeczywistości przeciwieństwem takich upodobań; nie jest troską o siebie, jest zapomnieniem o sobie. Wyróżnia ją powszechność. Lecz to pojęcie, cokolwiek by się o tym mówiło, jest dość mało znane. Fakt, że myśli się zazwyczaj o miłości w kategoriach uczciwości, podkreśla jeszcze jak trudno jest utrzymywać się na poziomie duchowości powszechnie i obiektywnie ważnej. A tak jednak trzeba. Nie ma bowiem miłości Boga bez odrzucenia wszelkiej wyłączności. Miłość jest bezwzględnym wykraczaniem poza wszelkie ograniczenia i determinacje, obojętne, czy chodziłoby o nasze własne granice, czy o granice innych. Bez wahania wznosi się ona ponad pozory i wydobywa w każdej istocie to, co ona ma nieskończenie cennego, a co kryje się pod osłoną namiętności czy w zawikłaniach wewnętrznego życia jednostki lub życia społecznego.

Lecz czy widzicie, jak bardzo takie przenikanie, takie poszerzanie spojrzenia zakładają zaparcie się siebie, zaparcie się miłości własnej? Nie ma tu nic samolubnego, nic odpłatnego, żadnego ubezpieczenia na drugi świat, żadnej umowy z Bogiem. Miłość nie płaci, ona zobowiązuje do dawania bez rachuby, niczego w zamian nie oczekując. A przy tym, jest ona znakiem pytania i niepewności, postawionym nad wszystkimi cnotami i wartościami; gdyż nie obchodzi ją nic co stworzone, wywraca to jak przeszkodę. Nie przyjmuje żadnych podstaw ostatecznych, bo nie zatrzymuje się na żadnej determinacji. Uzależnia wszystko od wolności, która zaciąga się w służbę i oddaje się cała. Lecz i ta nie opiera się na żadnej rzeczy; poddając wszystkie w wątpliwość, jednoczy się wyłącznie ze swym źródłem, czystą wolnością Bożą, z Obecnością, będącą sama przez siebie, Obecnością, która przez łaskę pozwala ludzkiej wolności wyjść ponad naturę. Wreszcie dzięki obecności każdego we wszystkich i wszystkich w każdym jest miłość łącznością wszystkich i ich łącznym sprowadzeniem do mianownika, do Zasady wszelkiej wzajemności.

Opis zdaje się tu żonglować formułami. Lecz my wiemy, jakim konkretnym wymaganiom odpowiada. Człowiek, który zdobywa się na całkowitą bezinteresowność — oto nosiciel miłości. Ten kto wznosi się ponad zmącenie: zmysłów, własnego życia psychicznego, życia społeczności; ten kto nie pozostaje ani przy religii strachu, ani interesu, ani bezpieczeństwa; ten kto nie zadowala się dyskusją z Bogiem, argumentacją w stosunku do Kościoła, a odwrotnie, kto kocha ludzi, poświęca się dla nich, pracuje nad ich wyzwoleniem we wszystkich planach, stosownie do swych możliwości: w ekonomice, życiu obywatelskim, polityce podobnie jak i w życiu religijnym, ten właśnie, człowiek pełen poświęcenia, wyrzeczeń, owocnego działania, jest prawdziwym świadkiem Boga wśród swych braci. Nie szuka on bowiem żadnej wymówki, fałszywego pozoru, żadnego alibi. Nie zwala na nikogo, ani na Boga, ani na Kościół, troski o odnajdywanie dzień po dniu prawdy i dobra, które mogły by odnowić los człowieczy. I czyni to z czystej miłości, w najściślejszym zespoleniu ze swą najwyższą Miłością. Czy taka religia nie jest warta tej, która w tak budujący sposób ubóstwia własne „ja"? Zostawmy własnym udręczeniom ludzi zajętych troską o osobnicze zbawienie, potrzebujących nieba, które myślą z izbą obrachunkową. Będzie im zabrane nawet to, czego nie mają, mianowicie sens Absolutu. Gdyż wedle straszliwych słów Brunschvicga: „Nie, Bóg nie objawi się podłym".

(fragment studium pt. „Quelques Alibis du croyant" zamieszczonego w mieś. „Esprit" — czerwiec 1952).

Leon DWERNICKI

Wielka i mała

ROZMOWA dobiega końca, należy wstać i podziękować Profesorowi za szereg cennych informacji; dokładność wymaga jednak aby nie zakończyć wywiadu w gabinecie, a więc rzut oka na „teren operacyjny", tj. na laboratorium, Roentgena i salę pracy.

Stanowczo, nie należy opuszczać pracowni prof. Bohdana Marconiego, nie obejrzawszy przed tym aparatury Roentgena jego pomysłu; oglądali ją przecież uczeni przybywający z zagranicy; odwiedziny te dawały im nie tylko dużo materiału do dyskusji, ale przede wszystkim umożliwiały obserwacje wielkich prac prowadzonych na skalę rzadko spotykaną w Europie.

Wojna sprawiła, że ilość pacjentów jest niesłychanie wielka i trudno przewidzieć, czy po ukończeniu żmudnej i wielomiesięcznej operacji nie zawita natychmiast nowy, dotychczas nieznany, tajemniczy pacjent, by „prosić" profesora o opiekę.

Aparat Roentgena, laboratorium, pacjenci, wszystkie te słowa użyte zupełnie poprawnie wywołać mogą wrażenie, że za chwilę wspomnę jeszcze o stole operacyjnym, a wówczas już będzie jasne, że jesteśmy w jednym z wielkich szpitali warszawskich.

Nic podobnego! nie ujrzymy lekarzy w białych fartuchach, natomiast możemy dyskutować, czy nie należałoby zamiast słowa „szpital" użyć wyrazu „klinika" lub „lecznica". Niewątpliwie każde z nich znalazło by usprawiedliwienie, urzędowa jednak nazwa, którą przeczytać można przy wejściu do Pałacu Blanka, brzmi: „Pracownia konserwacji zabytków".

Głównym konserwatorem pracowni jest prof. Bohdan Marconi. Pracownia ta zabezpieczyła, uratowała i dokonała konserwacji wielu obrazów, malowideł ściennych i rzeźb. Trudno będzie wyliczyć wszystkie obiekty świeckie oraz kościoły, w których dokonano prac konserwatorskich i opisać wszystkie odkrycia dokonane w naszych świątyniach, w latach 1945-52. Podkreślić tu jednak należy sprawę pozornie paradoksalną, a mianowicie, że po zniszczeniach wojennych, dzięki natychmiastowej pomocy państwa, nie tylko zdołano uratować wiele dzieł sztuki sakralnej, ale wzbogacono je jeszcze przez odkrycie kilku cennych malowideł ściennych.

Żarnowiec Morski — Pieta (przed konserwacją)

Na chwilę odbiegłem od tematu głównego, tymczasem prof. Marconi naciska klamkę i wchodzi do niezbyt wielkiego pokoju, w którym stoi lampa kwarcowa i aparat Roentgena.

Prof. Marconi zastosował praktycznie rentgenografię obrazu i udoskonalił aparat rentgenowski dla celów badania dzieł sztuki. Udoskonalona przez prof. Marconiego aparatura zezwala na badanie obrazu w pozycji stojącej, zabezpieczając go przed wgnieceniem lub uszkodzeniem.

Dzięki zastosowaniu promieni Roentgena przy badaniu obrazów, każde uszkodzenie, nawet tak dokładnie naprawione, że gołym okiem jest niedostrzegalne, na rentgenogramie staje się zupełnie wyraźne.

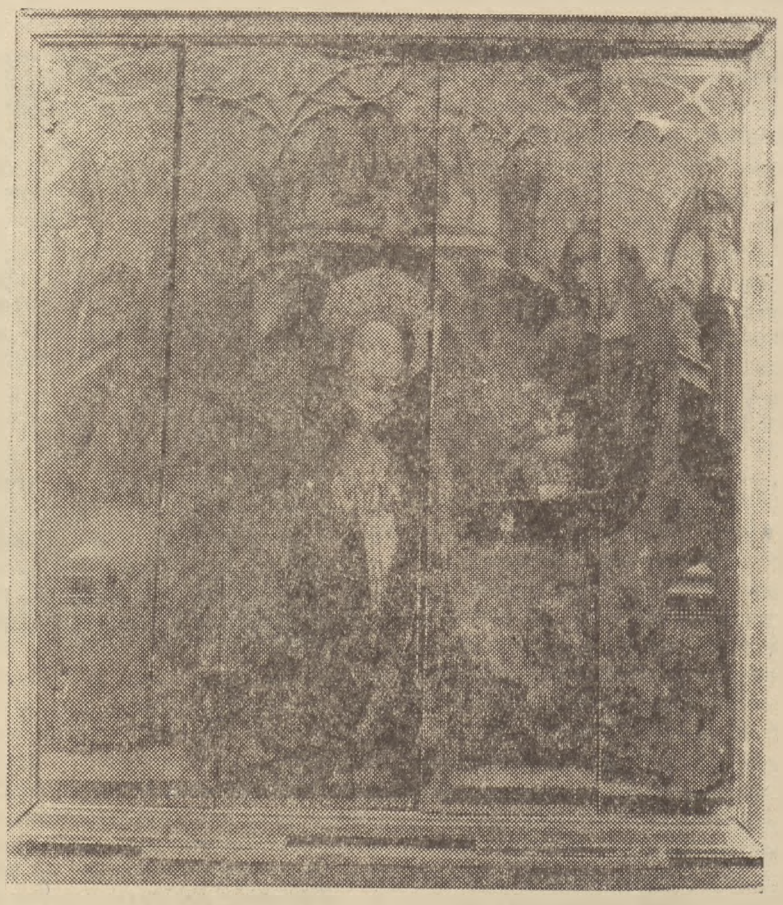

Łagiewniki, woj. kieleckie — Tryptyk „Koronacja N.M.P." (przed konserwacją)

Promienie Roentgena zezwalają również wykryć pierwotny oryginalny obraz, jeśli został on częściowo lub całkowicie zamalowany przez autora.

Badania obrazów prowadzone są nie tylko dla określenia ich autentyczności, ale również dla ustalenia stanu zachowania.

W tym zakresie lampa kwarcowa daje nieocenione usługi, gdyż pozwala na stwierdzenie stanu zachowania powierzchni i werniksu. Wyniki badań prowadzonych przy pomocy promieni pozafioletowych, wytwarzanych przez lampę kwarcową, można ustalić fotograficznie.

Laboratorium prof. Marconiego, aczkolwiek niewielkie i mieszczące się w lokalu, który nie jest specjalnie przystosowany na klinikę dzieł sztuki, jest jednak wielkim postępem, w porównaniu z tym, co było dawniej.

Zaraz po uwolnieniu Warszawy zorganizowana została pod kierownictwem prof. dr. Stanisława Lorentza, Naczelna Dyr. Muzeów i Ochrony Zabytków. Generalnym konserwatorem był prof. Jan Zachwatowicz — mówi prof. Marconi — w tym okresie, gdy cofające się oddziały hitlerowskie dokonywały jeszcze nowych, masowych zniszczeń zabytków w Polsce, na obszarach wyzwolonych przez wojska radzieckie i armię polską prowadzona już była praca nad zabezpieczeniem i ratowaniem uszkodzonych dzieł sztuki. „Zachęta" w Warszawie stała się wówczas wielkim warsztatem, Państwową Pracownią Konserwacji Zabytków Malarstwa, w której rozpoczęto gorączkowe wstępne prace, aby uratować dla potomności wspaniałe zabytki naszego malarstwa. Dziś wszyscy wiedzą że „Grunwald" i „Kazanie Skargi", zostały w „Zachęcie" „naprawione".

Ponieważ interesuje pana zagadnienie konserwacji dzieł sztuki sakralnej — ciągnie prof. Marconi — muszę wspomnieć, że jedną z pierwszych prac w tym zakresie było zabezpieczenie malowideł pochodzących z początku XVII w. w kaplicy w Częstochowie. Przeprowadzono również prace ratownicze malowideł XVI w. w cerkwi w Supraślu wysadzonej przez hitlerowców. Udało się wówczas zdjąć najcenniejsze fragmenty i zabezpieczyć je w Białymstoku.

Jakie prace konserwatorskie zdaniem p. Profesora zasługują na szczególne wyróżnienie?"

„Prac dokonanych jest już tak wiele, że trudno było by je wyliczyć, nie ulega jednak wątpliwości, że na wyróżnienie zasługuje przede wszystkim konserwacja ołtarza Mariackiego Wita Stwosza w Krakowie".

PONIEWAŻ konserwacja dzieła Wita Stwosza omawiana była szeroko nie tylko w naszej prasie ale i zagranicznej, przypomnimy tu krótko najważniejsze jej etapy. Po powrocie ołtarza w r. 1946 z Norymbergi do Krakowa, opracowano program prac konserwatorskich. Przede wszystkim zajęto się sprawą zabezpieczenia cennego zabytku przed niszczącą działalnością larw owadów. Zagrożone części zostały poddane działaniu gazów w specjalnej komorze. Następnie kanaliki drążone przez larwy czerwotoka nasycono żywicą i zakitowano, a wszystkie niewidoczne części ołtarza pokryto warstwą minii, w ten sposób zabezpieczono drewno przed wilgocią i grzybem. Dużo również trudu kosztowało usunięcie wszystkich przemalowań, jakich dokonano w XVII i XIX w. Badania wykazały bowiem, że oryginalną polichromię Wita Stwosza pokrywały dwie a czasem trzy warstwy przemalowań. Po dokonaniu iście benedyktyńskiej pracy postacie w ołtarzu odzyskały swą piękność pierwotną. Prace te dokonane zostały pod bezpośrednim kierownictwem prof. Mariana Słoneckiego.

„Czy utrwalenie polichromii Jana Matejki w kościele Mariackim w Krakowie również można zaliczyć do wielkich prac dokonanych dzięki pomocy państwa?"

„Tak, polichromii wykonanej według projektu Jana Matejki w prezbiterium Kościoła Mariackiego w Krakowie groziło zniszczenie. Aby ratować dzieło Mistrza dokonano w r. 1946 pod kierownictwem prof. Wiesława Zarzyckiego wielkiej pracy konserwatorskiej, którą w r. 1947 doprowadzono szczęśliwie do końca.

Teraz praca ani na chwilę nie ustaje. Kończymy właśnie konserwację tryptyku z Łagiewnik, będzie on umieszczony w katedrze w Kielcach, również konserwacja tryptyku z XVI w. z Wieniawy koło Radomia

chirurgia w pałacu Blanka

jest na ukończeniu. Tryptykowi z Stobieska, który przemalowano w XVII w. przywróciliśmy jego pierwotny wygląd z początku XVI w. Jedną z wielkich prac jakie ostatnio dokonano, było oczyszczenie i zabezpieczenie jedenastu obrazów malowanych w XVIII w. przez Kinasta i Majnardiego, obrazy te pochodzą z katedry we Wrocławiu. Po konserwacji przesłane zostały do seminarium we Wrocławiu."

„Przed wojną sztuka przywracania dawnej świetności starym obrazom uchodziła niemal za tajemniczy kunszt, czy mógłby Pan Profesor wyjaśnić jakiej wiedzy wymaga się obecnie od konserwatora?"

„Zasad konserwacji uczymy w Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie i Krakowie. Dziś od konserwatora wymagana jest nie tylko znajomość historii sztuki i technik malarskich, chemii ogólnej, chemii malarskiej i technologii, ale i fizyki ze względu na stosowanie aparatu Roentgena i lampy kwarcowej. Przy konserwacji dzieł sztuki, przy oczyszczaniu obrazów, ustawianiu starych przemalowań oraz regeneracji zmartwiałych kolorów, konserwator posługuje się chemikaliami, a więc wymagamy od niego opanowania niektórych dziedzin chemii.

Technologia dla konserwatora to przede wszystkim zagadnienie podobrazia, deski, płótna oraz farb i werniksów; obejmuje ona również niezwykle ważną sprawę tępienia szkodników w drewnie i zapobiegania próchnicy".

„Czy konserwacja dzieł sztuki ma za zadanie wyłącznie zabezpieczenie ich od dalszego zniszczenia?", odczuwam, że mimo woli zdradziłem się z niezbyt wielkiego zakresu znajomości konserwacji, profesor bowiem namyśla się chwilę i z uśmiechem odpowiada: „Na ogół konserwację dzieł sztuki utożsamia się z zabezpieczeniami od zniszczeń, jest to istotnie głównym celem, ale nie jedynym, gdyż nie mniej ważny jest wynik estetyczny osiągnięty po wykonaniu wszystkich prac konserwatorskich. Dzieł sztuki, które by zachowały się w stanie pierwotnym w jakim wyszły spod pędzla czy dłuta artysty zachowało się niewiele. Większość została bowiem zniekształcona przez zabrudzenie, pociemnienie werniksu, a nawet przemalowanie, dlatego już zakonserwowany obraz wymaga często wielu zabiegów dla przywrócenia mu pierwotnego wyglądu.

Żarnowiec Morski — Pieta (po konserwacji)

„Często jednak, Panie Profesorze, oglądamy w muzeach stare rzeźby które podlegały konserwacji, a jednak są uszkodzone, figurom brak rąk, palców lub nosów?"

„W rzeźbie zwyciężyła dziś purystyczna konserwacja, nikt więc nie myśli o uzupełnieniu rąk Wenus z Milo, brak jednego lub kilku fragmentów nikogo nie razi. Inaczej niecoprzedstawia się sprawa z obrazami, tło widziane przez uszkodzone miejsce obrazu jest elementem obcym, nie polepsza również tego stanu załatanie takiego uszkodzenia, gdyż wówczas oglądać będziemy kit, płótno lub drewno, dlatego też często, a przede wszystkim przy konserwacji obrazu będącego obiektem kultu religijnego stosujemy rekonstrukcję. Rekonstrukcja ta powinna być lekko zaznaczona w stosunku do partii oryginalnych przez inną fakturę lub barwę. Przy konserwacji starych fresków stosujemy jednak zasadę: jak najmniej uzupełniać, pamiętać bowiem należy, że przez „poprawianie" dzieło sztuki nie nabiera większej wartości artystycznej a często traci wartości dokumentalne".

Łagiewniki, woj. kieleckie — Tryptyk „Koronacja N.M.P." (po konserwacji)

Z ZACIEKAWIENIEM słucham tych wyjaśnień, Profesor mówi zwięźle, jednak każde jego słowo odsłania mi tajemnice kunsztu konserwatorskiego. To nic, że moje pytania są trochę niezgrabne, skoro Profesor natychmiast je naprawi i uzupełni. Dlatego też ryzykuję niezbyt uczone ale typowo dziennikarskie zapytanie, *„Jakich ciekawych odkryć dokonano w ciągu ostatnich lat? Słyszałem o niezwykle cennych malowidłach ściennych w Mokrzku, kościele św. Katarzyny w Gdańsku i w kościele klasztornym w Czerwińsku."*

„Na to pytanie nie będzie mi zbyt trudno odpowiedzieć, ostatnie bowiem lata przyniosły nam cały szereg odkryć w zakresie polichromii ściennych wzbogacając poważnie ubogi inwentarz naszego malarstwa ściennego. Odkrycia te zawdzięczamy przede wszystkim pracom architektoniczno-konserwatorskim dokonywanym przy dawnych zabytkach.

W kościele w Mokrzku Dolnym, który posiada prezbiterium romańskie z ciosu, pocisk artyleryjski w r. 1945 uszkodził południową ścianę, wstrząs spowodował odpadnięcie tynków, spod których ukazały się malowidła. Przeprowadzone badania stwierdziły, że są to fragmenty malowidła późno-gotyckiego z XVI w.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa odkrycia romańskiej polichromii w Czerwińsku. Pracownie Konserwacji Zabytków na zlecenie Departamentu Ochrony i Konserwacji Zabytków, rozpoczęły w lipcu 1951 r. prace przy konserwacji malowideł w absydzie nad głównym ołtarzem. Tymczasem podczas badań okazało się, że i w południowej kaplicy ściany posiadają również malowidła. Niezwykle mozolna praca oczyszczania ścian uwieńczona została odkryciem dużych malowideł romańskich.

Już tylko dla całokształtu wielkości prac prowadzonych przez państwo nad zabezpieczeniem zabytków sztuki sakralnej wspomnę, że w Miechowie w kościele Bożogrobców odkryto malowidła ścienne z XIII w. Przeprowadzono również prace nad konserwacją polichromii z XVIII w. w kościele w Książu Wielkim i kościele drewnianym na Harendzie koło Zakopanego.

Znana ze swej piękności polichromia drewnianego kościoła w woj. łódzkim, w Boguszycach poddana została również zabiegom konserwatorskim. Podczas prac odkryto ciekawe malowidła na ścianach bocznych, które były zakryte przez bezwartościową malaturę olejną."

„Tych renowacji i odkryć dokonać można było jedynie dzięki naprawdę ofiarnej pracy niewielkiego zespołu konserwatorów — mówi prof. Marconi kierownik działu malarstwa ściennego, — Karol Dąbrowski przeprowadził prace w Morągu i Czerwińsku, w Gdańsku prof. Żyngiel, w Krakowie prof. Słonecki a w Toruniu starszy asystent Torwird czuwają nad konserwacją zabytków, w Warszawie Gustaw Pilecki kieruje konserwacją malarstwa stalugowego, stolarz-artysta-konserwator Maksymilian Sobiszewski przeprowadza precyzyjne prace stolarskie, a starszy technik Stanisław Garbarczyk wykonuje pod klejanie obrazów oraz roboty pozłotnicze tła i ram.

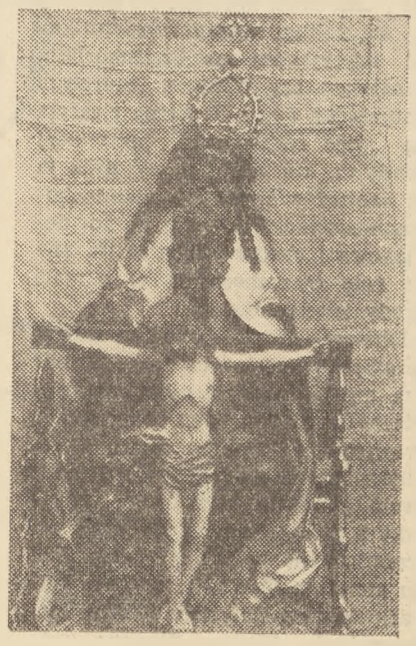

Dobre Miasto — Trójca Święta (po konserwacji)

„Aby choć częściowo zdać sobie sprawę z wielkiego wkładu dokonanego przez Państwo nad zabezpieczeniem sztuki sakralnej, czy mógł by Pan Profesor określić wysiłek przy odnowieniu ołtarza Wita Stwosza i polichromii matejkowskiej?"

„Przykładowo wystarczy stwierdzić, że całkowity koszt konserwacji Ołtarza Mariackiego Wita Stwosza, trwającej kilka lat i prowadzonej przy udziale około 20 pracowników, pokryło Państwo".

ZNACZENIE zakończonych i obecnie prowadzonych prac nie wymaga wyjaśnień, nie ma bowiem województwa, w którym by nie dokonano konserwacji cennych zabytków sztuki sakralnej, a ilość odkryć malowideł ściennych jest imponująca. Świadczy to najlepiej o opiece i ochronie zabytków kulturalnych w Polsce Ludowej. *Leon Dwernicki*

Zdjęcia ze zbiorów Min. Kultury i Sztuki.

Spotkania częstochowskie

(Dokończenie ze str. 1)

dzę w chwili, gdy na estradzie rozpoczynają się popisy najmłodszych.

Nie wiem doprawdy, jak się z wami podzielić urokiem tego jedynego w swoim rodzaju widowiska. Malutkie krakowianki migające wyszywaniami gorsetów, wdzięczne tancereczki niezgrabnie a z zapałem kręcące się w mazurku, w białoruskiej bulbie, w trojaku, — chłopaczkowie odważnie zmagający się z tremą, gdy trzeba recytować wiersz o Planie 6-letnim i o Pałacu Kultury. Te dzieci, którym pozwolono na rzecz tak bezcenna, jak szczęśliwe dzieciństwo, połączyły zebranych wspólnym węzłem zrozumienia i zaufania. To też kiedy kandydat na posła Dominik Horodyński zabiera później głos, aby mówić rodzicom o celach i zadaniach Frontu Narodowego na sali panuje cisza pełna uwagi.

Odwracam głowę aby przyjrzeć się twarzom słuchaczy; są zapatrzone w mówcę jakby łowiły każdy wyraz, a kiedy mowa o sprawie Pokoju, o tym, że zachowanie go to ocalenie życia dzieci, ich rozwój i szczęście, słychać, jakby szmer przytakiwania przebiegł przez salę. Ci ludzie, którzy przed chwilą patrzyli na popisy swych maleństw, nienawidzą wojny, protestują przeciw niej i potępiają ją. Kiedy przebrzmiewa ostatnie słowo mówcy ludzie podnoszą się z miejsc, biją brawo, nie mogą się uspokoić, skandują chórem nazwisko Prezydenta. W dyskusji, która się potem jeszcze długo toczy, rodzice pytają o sprawy szkolnictwa, o program nauczania, o wszystko co związane jest z dzieckiem i jego nauką.

*

OSTATNIE spotkanie ma charakter masowy. Siedemset osób to nie mało biorąc pod uwagę, że miasto jest prowincjonalne, a pora wczesna. Sala wielka jak widownia teatru nie mieści wszystkich. Ci, którzy nie zmieścili się wewnątrz czekają przed budynkiem, aby wysłuchać przemówienia przez megafony. Na sali widać sporo księży i parę sióstr zakonnych. Przeciskamy się z trudem do sceny przybranej uroczyście transparentami.

Dominik Horodyński mówi o Pokoju — o tej olbrzymiej idei, która porywa dziś świat. Mówi o imperializmie złowieszczo zagrażającym tej idei, o Niemczech zachodnich, gdzie znów się tworzy obóz zniszczenia i pogardy, mówi potem o Froncie Narodowym, który przeciwstawia się tym nieludzkim zamysłom. Wspomina swoje wrażenia z wyjazdów do krajów zachodnich. Mówi, jak bardzo w tych krajach zwiększył się szacunek dla Polski, jak bardzo teraz w świecie liczą się z nami. Szeroko omawia sprawy specjalnie interesujące katolików. Mówi między innymi o Porozumieniu między Kościołem a Państwem, o działalności społecznej różnych środowisk katolickich itp.

Przemawiający potem Wojciech Kętrzyński przypomina miasto, w którym oto jesteśmy, miasto twórczego życia i wielkiej przeszłości. Tym pięknym akcentem wiary i optymizmu kończy się przemówienie. Częstochowianie walą brawo aż miło.

Koło mnie jakaś skrzywiona postać szepce kąśliwie: cóż stąd, że klaszczą — płacą im, więc klaszczą. Więc przytakuję skrzywionej postaci skwapliwie: Słusznie łaskawa pani — płacą im i to niezgorzej. Płacą im nowymi szkołami, miastami dźwiganymi z ruin — więc klaszczą; setkami nowych mostów i kilometrami nowych dróg, płacą nauką dla dzieci i lepszym losem — więc klaszczą. Płacą lepszą przyszłością i możliwością pracy dla wszystkich. Ale skrzywiona postać wiedziała swoje — mnie tam nikt nie płaci, więc klaskała nie będę, — uniosła się z rumorem i dziobiąc wzgardliwie naokoło długim nosem pożeglowała ku wyjściu. Ale nikt jakoś nie spostrzegł tej demonstracji, nawet ja nie zdążyłem jej zanotować w moim raptularzu, bo przyszła kolej na wygłoszenie mojego wiersza. I kiedy tak stanąłem na estradzie patrząc na tłum zebranych, chciałem powiedzieć w wierszu całą radość z doświadczeń, jakie przyniosły mi te krótkie dni w Częstochowie.

Mikołaj Bieszczadowski

SP. WYD. „PAX"
WZNOWIENIE WZNOWIENIE
Antoni Gołubiew
BOLESŁAW CHROBRY
powieść
komplet cztery tomy
Cena zł 112.—
Wysyła Biuro Sprzedaży Sp Wyd „PAX", Warszawa, Mokotowska 43, po wpłaceniu należności na konto P. K. O. nr I-8515

Zza kulis wywiadu

(Dokończenie ze str. 9)

nie i umożliwił mu osobiste zatknięcie się z kierowniczymi czynnikami brytyjskimi jak Chamberlain, Vansittart czy Winston Churchill. Antyczeska akcja Henleina cieszyła się więc całkowitym poparciem Londynu, który chciał wystąpić jako arbiter w sprawach niemiecko-czechosłowackich. Rzuca to dodatkowe i ciekawe światło na znaną rolę Chamberlaina w okresie ugody monachijskiej.

Dłuższy rozdział poświęca Hagen sprawom jugosłowiańskim. Stwierdza on, że wywiad niemiecki nawiązał bardzo prędko kontakty z prawicowym ruchem oporu Czetników, pozostających pod dowództwem generała Mihajlovića. Kontakt z nim istniał również za pośrednictwem quislingowskiego rządu generała Nedića, z którym Mihajlović pozostawał w stałym porozumieniu. Według Hagena, wywiad niemiecki uzgodnił w 1943 r. z Mihajlovićem plan stworzenia wspólnego frontu wszystkich serbskich partii prawicowych pod sztandarem walki z ruchem komunistycznym w Jugosławii. W tym celu miano tajnie sprowadzić do kraju, za wiedzą Anglików, młodocianego króla Piotra przebywającego na emigracji, aby nadać stworzonemu w ten sposób rządowi cechy legalności.

Z książki dowiadujemy się również o zdradzieckich matactwach Tito, który prowadził jednocześnie tajne rokowania z Anglosasami, Włochami faszystowskimi oraz z hitlerowskimi władzami okupacyjnymi w Kroacji. M. in. na wiosnę 1943 r. przedstawiciel Tita, generał Velebit rokował osobiście z dowódcą hitlerowskich wojsk okupacyjnych, gen. Glaise von Horstenau, w sprawie pełnego zawieszenia broni. I w tym wypadku przygotowana przez wywiad niemiecki negocjacja upadła, jakoby z powodu uporu Hitlera, który miał rzekomo oświadczyć, że z buntownikami nie zawiera żadnych porozumień. W 1945 r. wywiad niemiecki zawarł za pomocą niejakiego inżyniera Otto umowę z Tito, która miała umożliwić swobodne wycofanie się otoczonej już armii hitlerowskiej z Jugosławii.

W rozdziale omawiającym sprawy węgierskie mamy ciekawe potwierdzenie zdradzieckich kontaktów Rajka, wówczas szefa partyzantów węgierskich walczących przeciwko okupantom hitlerowskim, z kierownikiem wywiadu węgierskiego, gen. Ujszaszy. Okazuje się, że za pośrednictwem tego ostatniego Rajk przeprowadził nawet tajną rozmowę z regentem Horthy, który chciał zapewnić sobie pozostanie u władzy po klęsce hitlerowskiej. Zgodnie z konsekwentnie przeprowadzaną linią Hagen twierdzi, że i te odbywające się pod patronatem wywiadu niemieckiego rozmowy nie dały rezultatów z powodu błędnego, jego zdaniem w danym momencie, internowania Horthy'ego przez okupacyjne władze hitlerowskie i przekazania władzy w ręce czysto faszystowskiej grupy Szalasi'ego.

Hagen rozpisuje się szeroko o głośnym epizodzie porwania Mussoliniego z więzienia włoskiego przez Skorzeny'ego. Mniej znany natomiast jest fakt, że tego samego dnia wywiad hitlerowski zorganizował jednocześnie wywiezienie do Niemiec żony Mussoliniego wraz z jego dziećmi oraz małżonków Ciano, internowanych również przez ówczesny rząd włoski marszałka Badoglio. Jak jednak wiemy — po paru tygodniach Ciano został z polecenia Hitlera wydany w ręce powstałego właśnie pod osłoną bagnetów hitlerowskich w północnych Włoszech rządu neofaszystowskiego, który kazał Ciana rozstrzelać za poparcie votum nieufności dla Mussoliniego na ostatniej Wielkiej Radzie Faszystowskiej, która poprzedziła jego upadek.

W całej więc książce przewija się nić przewodnia stałej gloryfikacji wywiadu niemieckiego, uwypuklania jego niezmiennej linii antykomunistycznej i antyradzieckiej oraz niedwuznacznego sugerowania, że polityka faszyzmu niemieckiego była i słuszna i dobra, tylko paru ludzi, nie dorosłych do swych zadań, względnie patologicznie obciążonych jak Hitler, Ribbentrop, Heydrich czy Himmler, uniemożliwiło zrealizowanie tak „wzniosłego" celu, jak „obrona cywilizacji zachodniej" możliwa do osiągnięcia w wypadku pełnego triumfu imperializmu niemieckiego.

W gruncie rzeczy nie warto by było zatrzymywać się nad książką, głoszącą tak absurdalne i fałszywe tezy. Politycznie ważnym jest jednak fakt, że takie właśnie książki ukazują się dziś pod okupacją amerykańską. Nie jest to dziełem przypadku czy niedopatrzenia. Bynajmniej! Właśnie tezy głoszone przez Hagena odpowiadają interesom amerykańskiego imperializmu.

Mają one usprawiedliwiać posługiwanie się przez nich skompromitowanymi hitlerowcami i „fachowcami od brudnej roboty" wywiadu niemieckiego w dzisiejszych planach prowokowania nowej wojny światowej. Imperialistom którzy kopiują zarówno cele jak i metody polityki hitlerowskiej, potrzebne są książki propagujące zasady tej polityki i starające się przekonać czytelnika, iż tylko błędy paru ludzi uniemożliwiły ich zrealizowanie. Żadne jednak fałszowanie historii nie przekreśli faktu, że to pragnące pokoju i wolności narody, a przede wszystkim narody Związku Radzieckiego przełamały światoburcze zakusy hitlerowców i że taki sam los czeka wszystkich ich naśladowców.

Szymon Dereń

Andrzej ODNOWA

»ZBIEGOWIE« w ATENEUM

„Zbiegowie", sztuka **Haliny Auderskiej**, wystawiana w Teatrze „Ateneum" w reżyserii **Jerzego Uklei**, ma wcale ciekawą konstrukcję dramatyczną i stanowi widowisko, przykuwające uwagę widza walorami zdecydowanie scenicznymi. Wiele oryginalności tkwi w samym pomyśle akcji: w historii zbiegostwa chłopskiego (a raczej „wykoczowania", wykradzenia poddanych), osadzonej w ramy wrogości dwóch sąsiadujących ze sobą szlacheckich dworów. Punktem wyjścia intrygi staje się miłość dwojga młodych poddanych, tragiczne jej rozwiązanie przynosi małżeństwo ich państwa, łączące ze sobą... skłócone dwory. Mimo pościgu za zbiegami na terenie sąsiedzkiego majątku, jaśnie państwo w końcu się godzą, lecz wśród hucznego „kochajmy się" uroczystości zaręczyn, chłopi wracają pod srogi bat mściwego ekonoma, spod którego na próżno usiłowali się wyrwać. Prawda społeczna i wymowa klasowa tego obrazu narzucają się z wielką siłą dzięki samemu układowi dramatycznemu wydarzeń scenicznych.

W ogólnym zarysie swej akcji są „Zbiegowie" jednym z najlepiej pomyślanych utworów dramatycznych napisanych po wojnie. Obfitują w znakomite sytuacje, takie, jak np. sceny z Nastką w charakterze modela dla strojącej się Cześnikowej lub z „dobrym panem", uroczyście, makaroniczną mówką objawiającym łaskawość dla swej czeladzi. W szczegółach opracowania nie jest natomiast sztuka Auderskiej pozbawiona wad. Dotyczą one przede wszystkim wątku ściślej osobistego, przewijającego się przez sztukę.

Spotykamy w niej trzy zakochane pary. Że miłość poddanych zarysowana jest kilkoma tylko rysami, podkreśla to jedynie ogólną anonimowość ówczesnej chłopskiej wegetacji — zresztą właśnie ta para w wykonaniu **Joanny Walter**, lirycznej i pełnej ludowego wdzięku, Nastki oraz dobrego w grze, przeważnie mimicznej, **Jerzego Felczyńskiego** (Piotr Krzewina) wypadła najbardziej interesująco. Druga, negatywna para, stworzona jak by trochę ad hoc, dla rozwiązania akcji zewnętrznej, to siostra Podstolego, Cześnikowa, rokokowa dama, która zaspakajając swe romansowe zacięcie, a zarazem ratując z opresji brata, podbija ścigającego swych chłopów stolnika Steckiego. Wystarczająco zindywidualizowane przez autorkę, lecz błędnie ujęte reżysersko, postacie te w wykonaniu **Zofii Barwińskiej** i **Jerzego Śliwińskiego** wypadły niepotrzebnie farsowo. Mając dzięki swemu kosmopolityzmowi, to znowu dzięki szlagońskim zalotom wnosić do sztuki elementy komizmu i humoru, postacie te zatracały jednak swe realistyczne kontury, ostatecz nie były raczej sztuczne, a Cześnikowa stworzyła bliski sztampy okaz okrutnej wykwintnisi, jednej z tych, co to jak francuska markiza dziwiły się, że poddani również posiadają pięć palców. Najmniej udała się Auderskiej ostatnia para, pozytywnych kochanków. Niezwiązani istotnie z akcją, byli tak dalece komentatorami „obrazka z chłopskiej doli" i porte-parcles autorki, iż wydawało się, że poza społecznikostwem w duchu Staszica, nic nie wypełnia ich — zresztą niejasnej w swych perypetiach — miłości. Dość blada gra **Aliny Jankowskiej** i bardzo sztywna — **Jana Szulca** nie mogła przydać prawdy duetowi, ustawionemu w samej akcji niepomysłowo i fałszywie.

Słaby wyraz, dany przez Auderską jednostkowym uczuciom swych postaci, sprawił, że sztuka nie dawała tej pełni ludzkiej prawdy, jaką dać mogła; że mimo wszystko była jakby tylko egzemplifikacją tezy społecznej. W tym zakresie oddziaływała przecież historyczną prawdą, żywą i nawskroś dramatyczną. Świat panów i poddanych wypadł bardzo sugestywnie. Świetny był **Marian Nowicki** jako prowincjonalny Katon, udający statystę i wzór cnót obywatelskich, Podstoli. Świetny **Henryk Barwiński** jako wierny adlatus i zarazem domowy szpieg swego pana. Wśród gromady sług wybijał się **Stanisław Libner** (z wyjątkiem koperczaków do Nastki) oddając w swej roli kucharza ciekawą mieszaninę obłudnej uległości, kiedy trzeba i pochlebstwa wobec państwa z akcentami zjadliwej krytyki i szyderstwa z pańskiej „dobroci". Natomiast bardzo słabo tłumaczyła się w akcji, a w wykonaniu **Lucjana Dytrycha** przybrała cechy złego rodzaju sensacji i tajemniczości postać wędrownego obraźnika **Bicza** (nomen-omen?).

Państwowy Teatr „Ateneum" w W-wie. Scena zbiorowa ze sztuki H. Auderskiej „Zbiegowie" od lewej: I. Ładysiówna (Podstolina), H. Barwiński (Hilary), M. Nowicki (Podstoli), J. Śliwiński (Stecki) i Z. Barwińska (Cześnikowa). fot. C.O.P.A.

Stronę chłopską ukazywał jednak reżyser **Jerzy Ukleja** ze szczególnym upodobaniem w scenach zbiorowych. Wypadły też one najlepiej. Nawet, stłoczone zbytnio i w tej samej scenerii powtórzone niemal na przestrzeni II aktu sceny z panem i czeladzią oraz panem i zbiegami były każda z osobna na swój sposób, raz ironiczny, drugi raz tragiczny, pełne wymowy ideowej i nastroju. Reżyser umiejętnie operował tu scenami niemymi, pauzą, milczeniem, grą mimiczną. Szczególnie, w scenie zjawienia się zbiegów, chyba najlepszej w spektaklu. Scenografia **Władysława Buśkiewicza**, na ogół poprawna, z dość niezrozumiałym uporem wprowadzała do poszczególnych obrazów motyw architektoniczny olbrzymiego łuku.

W sumie, słabsze w kameralnych scenach salonowych, sztuka sama i spektakl pełne były wyrazu w obrazowaniu ostrych kontrastów społecznych. Ale odsłoniła też autorka szczególnie palący problem przeszłości. Jeśli Kołłątaj przekazuje nam w swym „Stanie oświaty" zadziwiający fakt o zbiegłym kleryku, wyrzuconym — jako zbiegły poddany — z seminarium mimo otrzymania już niższych święceń, unaocznia on tylko przykładowo stopień wyzysku chłopskiego w religijnym zdawało by się społeczeństwie. Autorka rozwija swój temat nie tylko z wielką historyczną wiedzą i dramatycznym talentem, ale i z moralną pasją. Jej śmiała wypowiedź w programie pięknie precyzuje aktualny aspekt pojęcia „człowiek" w socjalistycznym ustroju.

„Zbiegowie" stanowią drugą premierę „Ateneum" za dyrekcji Warmińskiego. Po niemal całkowicie wyrównanym przedstawieniu „Zwycięstwa", jego pióra i reżyserii, ukazano nam w wykonaniu mniej może równym pierwsze w tym teatrze widowisko historyczne o wysokiej wartości ideowej i artystycznej. Oznacza ono nowy dorobek doświadczeń młodego zespołu „Ateneum".

Wacław Olszewski

Kosmopolici

Tulą do piersi swą ojczyznę,
na sercu kładą, jak kochankę —
ojczyzna: portfel, czek i business,
ojczystą mową — szelest franków,
ojców językiem — giełdy krzyki,
rodzinnym krajem businessisty
— U. S. Euro-ameryki,
gdzie głód granice zniósł ojczyste,
domem rodzinnym — bar w hotelach,
historią kraju — „Ma" i „Winien",
tradycją — czeków plik w porfelu
pieszczony wzrokiem, snem i śliną,

Autostrada wysadzana
bankami, nędzą i wyzyskiem —
do mety która — proszę panów —
jest bardzo blisko, bardzo blisko:

na mecie ludzie są weseli
nowym przedszkolem, nowym mostem
i nie sięgają do portfeli
w miejsce, gdzie tętnią serca proste.

I „haussą" gmachów są weseli
— nowego Planu nowym Rokiem
— ponad zwłokami trust-karteli
przechodzą twardym pracy krokiem.

Kosmopolici zaś — kir czeków
i kont żałobnym kładą gestem
na cmentarzysku podłych wieków:
zwłokach karteli, grobach trustów,

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartalnie 5,40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880.71 880.26.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam 2734. 3-B-25960

Zza kulis wywiadu

(Dokończenie ze str. 9)

nie i umożliwił mu osobiste zatknięcie się z kierowniczymi czynnikami brytyjskimi jak Chamberlain, Vansittart czy Winston Churchill. Antyczeska akcja Henleina cieszyła się więc całkowitym poparciem Londynu, który chciał wystąpić jako arbiter w sprawach niemiecko-czechosłowackich. Rzuca to dodatkowe i ciekawe światło na znaną rolę Chamberlaina w okresie ugody monachijskiej.

Dłuższy rozdział poświęca Hagen sprawom jugosłowiańskim. Stwierdza on, że wywiad niemiecki nawiązał bardzo prędko kontakty z prawicowym ruchem oporu Czetników, pozostających pod dowództwem generała Mihajlovića. Kontakt z nim istniał również za pośrednictwem quislingowskiego rządu generała Nedića, z którym Mihajlović pozostawał w stałym porozumieniu. Według Hagena, wywiad niemiecki uzgodnił w 1943 r. z Mihajlovićem plan stworzenia wspólnego frontu wszystkich serbskich partii prawicowych pod sztandarem walki z ruchem komunistycznym w Jugosławii. W tym celu miano tajnie sprowadzić do kraju, za wiedzą Anglików, młodocianego króla Piotra przebywającego na emigracji, aby nadać stworzonemu w ten sposób rządowi cechy legalności.

Z książki dowiadujemy się również o zdradzieckich matactwach Tito, który prowadził jednocześnie tajne rokowania z Anglosasami, Włochami faszystowskimi oraz z hitlerowskimi władzami okupacyjnymi w Kroacji. M. in. na wiosnę 1943 r. przedstawiciel Tita, generał Velebit rokował osobiście z dowódcą hitlerowskich wojsk okupacyjnych, gen. Glaise von Horstenau, w sprawie pełnego zawieszenia broni. I w tym wypadku przygotowana przez wywiad niemiecki negocjacja upadła, jakoby z powodu uporu Hitlera, który miał rzekomo oświadczyć, że z buntownikami nie zawiera żadnych porozumień. W 1945 r. wywiad niemiecki zawarł za pomocą niejakiego inżyniera Otto umowę z Tito, która miała umożliwić swobodne wycofanie się otoczonej już armii hitlerowskiej z Jugosławii.

W rozdziale omawiającym sprawy węgierskie mamy ciekawe potwierdzenie zdradzieckich kontaktów Rajka, wówczas szefa partyzantów węgierskich, walczących przeciwko okupantom hitlerowskim, z kierownikiem wywiadu węgierskiego, gen. Ujszaszy. Okazuje się, że za pośrednictwem tego ostatniego Rajk przeprowadził nawet tajną rozmowę z regentem Horthy, który chciał zapewnić sobie pozostanie u władzy po klęsce hitlerowskiej. Zgodnie z konsekwentnie przeprowadzaną linią Hagen twierdzi, że i te odbywające się pod patronatem wywiadu niemieckiego rozmowy nie dały rezultatów z powodu błędnego, jego zdaniem w danym momencie, internowania Horthy'ego przez okupacyjne władze hitlerowskie i przekazania władzy w ręce czysto faszystowskiej grupy Szalasi'ego.

Hagen rozpisuje się szeroko o głośnym epizodzie porwania Mussoliniego z więzienia włoskiego przez Skorzeny'ego. Mniej znany natomiast jest fakt, że tego samego dnia wywiad hitlerowski zorganizował jednocześnie wywiezienie do Niemiec żony Mussoliniego wraz z jego dziećmi oraz małżonków Ciano, internowanych również przez ówczesny rząd włoski marszałka Badoglio. Jak jednak wiemy — po paru tygodniach Ciano został z polecenia Hitlera wydany w ręce powstałego właśnie pod osłoną bagnetów hitlerowskich w północnych Włoszech rządu neofaszystowskiego, który kazał Ciana rozstrzelać za poparcie votum nieufności dla Mussoliniego na ostatniej Wielkiej Radzie Faszystowskiej, która poprzedziła jego upadek.

W całej więc książce przewija się nić przewodnia stałej gloryfikacji wywiadu niemieckiego, uwypuklania jego niezmiennej linii antykomunistycznej i antyradzieckiej oraz niedwuznacznego sugerowania, że polityka faszyzmu niemieckiego była i słuszna i dobra, tylko paru ludzi, nie dorosłych do swych zadań, względnie patologicznie obciążonych jak Hitler, Ribbentrop, Heydrich czy Himmler, uniemożliwiło zrealizowanie tak „wzniosłego" celu, jak „obrona cywilizacji zachodniej" możliwa do osiągnięcia w wypadku pełnego triumfu imperializmu niemieckiego.

W gruncie rzeczy nie warto by było zatrzymywać się nad książką, głoszącą tak absurdalne i fałszywe tezy. Politycznie ważnym jest jednak fakt, że takie właśnie książki ukazują się dziś pod okupacją amerykańską. Nie jest to dziełem przypadku czy niedopatrzenia. Bynajmniej! Właśnie tezy głoszone przez Hagena odpowiadają interesom amerykańskiego imperializmu.

Mają one usprawiedliwiać posługiwanie się przez nich skompromitowanymi hitlerowcami i „fachowcami od brudnej roboty" wywiadu niemieckiego w dzisiejszych planach prowokowania nowej wojny światowej. Imperialistom którzy kopiują zarówno cele jak i metody polityki hitlerowskiej, potrzebne są książki propagujące zasady tej polityki i starające się przekonać czytelnika, iż tylko błędy paru ludzi uniemożliwiły ich zrealizowanie. Żadne jednak fałszowanie historii nie przekreśli faktu, że to pragnące pokoju i wolności narody, a przede wszystkim narody Związku Radzieckiego przełamały światoburcze zakusy hitlerowców i że taki sam los czeka wszystkich ich naśladowców.

Szymon Dereń

Wacław Olszewski

Kosmopolici

Tulą do piersi swą ojczyznę,
na sercu kładą, jak kochankę —
ojczyzna: portfel, czek i business,
ojczystą mową — szelest franków,
ojców językiem — giełdy krzyki,
rodzinnym krajem businessisty
— U. S. Euro-ameryki,
gdzie głód granice zniósł ojczyste,
domem rodzinnym — bar w hotelach,
historią kraju — „Ma" i „Wunien",
tradycją — czeków plik w porfetu
pieszczony wzrokiem, snem i śliną,

Autostradą wysadzaną
bankami, nędzą i wyzyskiem —
do mety która — proszę panów —
jest bardzo blisko, bardzo blisko:

na mecie ludzie są weseli
nowym przedszkolem, nowym mostem
i nie sięgają do portfeli
w miejsce, gdzie tętnią serca proste.
I „haussą" gmachów są weseli
— nowego Planu nowym Rokiem
— ponad zwłokami trust - karteli
przechodzą twardym pracy krokiem.
Kosmopolici zaś — kir czeków
i kont żałobnym kładą gestem
na cmentarzysku podłych wieków:
zwłokach karteli, grobach trustów,

Andrzej ODNOWA

»ZBIEGOWIE« w ATENEUM

„Zbiegowie", sztuka **Haliny Auderskiej**, wystawiana w Teatrze „Ateneum" w reżyserii **Jerzego Uklei**, ma wcale ciekawą konstrukcję dramatyczną i stanowi widowisko, przykuwające uwagę widza walorami zdecydowanie scenicznymi. Wiele oryginalności tkwi w samym pomyśle akcji: w historii zbiegostwa chłopskiego (a raczej „wykoczowania", wykradzenia poddanych), osadzonej w ramy wrogości dwóch sąsiadujących ze sobą szlacheckich dworów. Punktem wyjścia intrygi staje się miłość dwojga młodych poddanych, tragiczne jej rozwiązanie przynosi małżeństwo ich państwa, łączące ze sobą... skłócone dwory. Mimo pościgu za zbiegami na terenie sąsiedzkiego majątku, jaśnie państwo w końcu się godzą, lecz wśród hucznego „kochajmy się" uroczystości zaręczyn, chłopi wracają pod srogi bat mściwego ekonoma, spod którego na próżno usiłowali się wyrwać. Prawda społeczna i wymowa klasowa tego obrazu narzucają się z wielką siłą dzięki samemu układowi dramatycznemu wydarzeń scenicznych.

W ogólnym zarysie swej akcji są „Zbiegowie" jednym z najlepiej pomyślanych utworów dramatycznych napisanych po wojnie. Obfitują w znakomite sytuacje, takie, jak np. sceny z Nastką w charakterze modela dla strojącej się Cześnikowej lub z „dobrym panem", uroczyście, makaroniczną mówką objawiającym łaskawość dla swej czeladzi. W szczegółach opracowania nie jest natomiast sztuka Auderskiej pozbawiona wad. Dotyczą one przede wszystkim wątku ściślej osobistego, przewijającego się przez sztukę.

Spotykamy w niej trzy zakochane pary. Że miłość poddanych zarysowana jest kilkoma tylko rysami, podkreśla to jedynie ogólną anonimowość ówczesnej chłopskiej wegetacji — zresztą właśnie ta para w wykonaniu **Joanny Walter**, lirycznej i pełnej ludowego wdzięku, Nastki oraz dobrego w grze, przeważnie mimicznej, **Jerzego Felczyńskiego** (Piotr Krzewina) wypadła najbardziej interesująco. Druga, negatywna para, stworzona jak by trochę ad hoc, dla rozwiązania akcji zewnętrznej, to siostra Podstolego, Cześnikowa, rokokowa dama, która zaspakajając swe romansowe zacięcie, a zarazem ratując z opresji brata, podbija ścigającego swych chłopów stolnika Steckiego. Wystarczająco zindywidualizowane przez autorkę, lecz błędnie ujęte reżysersko, postacie te w wykonaniu **Zofii Barwińskiej i Jerzego Śliwińskiego** wypadły niepotrzebnie farsowo. Mając dzięki swemu kosmopolityzmowi, to znowu dzięki szlagońskim zalotom wnosić do sztuki elementy komizmu i humoru, postacie te zatracały jednak swe realistyczne kontury, ostatecz nie były raczej sztuczne, a Cześnikowa stworzyła bliski sztampy okaz okrutnej wykwintnisi, jednej z tych, co to jak francuska markiza dziwiły się, że poddani również posiadają pięć palców. Najmniej udała się Auderskiej ostatnia para, pozytywnych kochanków. Niezwiązani istotnie z akcją, byli tak dalece komentatorami „obrazka z chłopskiej doli" i porte-parcles autorki, iż wydawało się, że poza społecznikostwem w duchu Staszica, nic nie wypełnia ich — zresztą niejasnej w swych perypetiach — miłości. Dość blada gra **Aliny Jankowskiej** i bardzo sztywna — **Jana Szulca** nie mogła przydać prawdy duetowi, ustawionemu w samej akcji niepomysłowo i fałszywie.

Słaby wyraz, dany przez Auderską jednostkowym uczuciom swych postaci, sprawił, że sztuka nie dawała tej pełni ludzkiej prawdy, jaką dać mogła; że mimo wszystko była jakby tylko egzemplifikacją tezy społecznej. W tym zakresie oddziaływała przecież historyczną prawdą, żywą i nawskroś dramatyczną. Świat panów i poddanych wypadł bardzo sugestywnie. Świetny był **Marian Nowicki** jako prowincjonalny Katon, udający statystę i wzór cnót obywatelskich, Podstoli. Świetny **Henryk Barwiński** jako wierny adlatus i zarazem domowy szpieg swego pana. Wśród gromady sług wybijał się **Stanisław Libner** (z wyjątkiem koperczaków do Nastki) oddając w swej roli kucharza ciekawą mieszaninę obłudnej uległości, kiedy trzeba i pochlebstwa wobec państwa z akcentami zjadliwej krytyki i szyderstwa z pańskiej „dobroci". Natomiast bardzo słabo tłumaczyła się w akcji, a w wykonaniu **Lucjana Dytrycha** przybrała cechy złego rodzaju sensacji i tajemniczości postać wędrownego obraźnika Bicza (nomen-omen?).

Państwowy Teatr „Ateneum" w W-wie. Scena zbiorowa ze sztuki H. Auderskiej „Zbiegowie" od lewej: I. Ładysiówna (Podstolina), H. Barwiński (Hilary), M. Nowicki (Podstoli), J. Śliwiński (Stecki) i Z. Barwińska (Cześnikowa). fot. C.O.P.A.

Stronę chłopską ukazywał jednak reżyser **Jerzy Ukleja** ze szczególnym upodobaniem w scenach zbiorowych. Wypadły też one najlepiej. Nawet, stłoczone zbytnio i w tej samej scenerii powtórzone niemal na przestrzeni II aktu sceny z panem i czeladzią oraz panem i zbiegami były każda z osobna na swój sposób, raz ironiczny, drugi raz tragiczny, pełne wymowy ideowej i nastroju. Reżyser umiejętnie operował tu scenami niemymi, pauzą, milczeniem, grą mimiczną. Szczególnie, w scenie zjawienia się zbiegów, chyba najlepszej w spektaklu. Scenografia **Władysława Buśkiewicza**, na ogół poprawna, z dość niezrozumiałym uporem wprowadzała do poszczególnych obrazów motyw architektoniczny olbrzymiego łuku.

W sumie, słabsze w kameralnych scenach salonowych, sztuka sama i spektakl pełne były wyrazu w obrazowaniu ostrych kontrastów społecznych. Ale odsłoniła też autorka szczególnie palący problem przeszłości. Jeśli Kołłątaj przekazuje nam w swym „Stanie oświaty" zadziwiający fakt o zbiegłym kleryku, wyrzuconym — jako zbiegły poddany — z seminarium mimo otrzymania już niższych święceń, unaocznia on tylko przykładowo stopień wyzysku chłopskiego w religijnym zdawało by się społeczeństwie. Autorka rozwija swój temat nie tylko z wielką historyczną wiedzą i dramatycznym talentem, ale i z moralną pasją. Jej śmiała wypowiedź w programie pięknie precyzuje aktualny aspekt pojęcia „człowiek" w socjalistycznym ustroju.

„Zbiegowie" stanowią drugą premierę „Ateneum" za dyrekcji Warmińskiego. Po niemal całkowicie wyrównanym przedstawieniu „Zwycięstwa", jego pióra i reżyserii, ukazano nam w wykonaniu mniej może równym pierwsze w tym teatrze widowisko historyczne o wysokiej wartości ideowej i artystycznej. Oznacza ono nowy dorobek doświadczeń młodego zespołu „Ateneum".

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartalnie 5,40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880.71 880.26.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam 2734. 3-B-25960